POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień **_Dnia 25-go listopada 1944r._** **Rok VI. Nr. 47**

DANINA KRWI I WKŁAD IDEI

Gdy obecna wojna zaczęła się przedłużać i wciągać do walki coraz to nowe wielkie organizmy państwowe, jak Rosja Sowiecka i Stany Zjednoczone, wkład Polski do wojny — państwa stosunkowo małego — zaczął blednąć. I dziś niejeden, zapominając o niedawnej przeszłości, może twierdzić, że wkład nasz do wojny jest bez wielkiego znaczenia dla dalszego jej przebiegu. Czysto zewnętrznie rzecz biorąc takie twierdzenie jest pozornie słuszne, ale roli Polski i jej Sił Zbrojnych w obecnej wojnie nie można oceniać tylko według pewnego jej etapu, w oderwaniu od całości.

Mając cały szacunek i pełne uznanie dla wysiłku zbrojnego innych państw sprzymierzonych, jak również zachowując pełne poczucie proporcjonalności, stwierdzić można, że Polskie Siły Zbrojne dwukrotnie w tej wojnie wpłynęły decydująco na jej przebieg i że bez udziału polskiego losy wojny mogły się potoczyć inaczej.

Pierwszy raz — gdy Polska rozpoczęła wojnę, położyła tamę "pokojowym" podbojom Niemiec i przez Kampanię Wrześniową dała Sprzymierzonym osiem miesięcy cennego czasu, w którym Niemcy lizali swe rany, a państwa zachodnie mogły przeprowadzić w spokoju mobilizację i przygotować się do wojny.

Drugi raz — gdy w czasie bitwy powietrznej o W. Brytanię lotnicy polscy osiągnęli tak znaczne zwycięstwa, że musiały one wpłynąć na przebieg tej decydującej dla Zachodu walki. Polskie dywizjony myśliwskie były w tej bitwie jedynymi spośród wszystkich dwudziestu paru państw, które są obecnie w wojnie z Niemcami, jednostkami walczącymi ramię w ramię z lotnictwem brytyjskim.

Polski wysiłek wojenny charakteryzuje nie tylko fakt pierwszeństwa w tej wojnie, ale — w odróżnieniu od niektórych innych państw — jego n i e p r z e r w a n e t r w a n i e. Gdy ucichły strzały Kampanii Wrześniowej, dalszą walkę prowadzą okręty wojenne w W. Brytanii, a potem lotnicy polscy na niebie Francji i Anglii. Równocześnie w Kraju trwa walka z podziemi. Z kolei przychodzą boje w Norwegii i Francji. Libia, Włochy, Francja, Belgia, Holandia. I tak Polacy walczą dzień po dniu, bez wytchnienia, n a w s z y s t k i c h f r o n t a c h, wierni sprawie i sojusznikowi do ostatka. Pétain w dniu 17 czerwca 1940 zwrócił się do Hitlera o warunki rozejmu. 1. Dywizja Grenadierów walczy we Francji do dnia 21 czerwca 1940, na prośbę dowódcy francuskiego osłaniając odwrót wojsk francuskich.

Niech jednak nikt nie widzi w tej walce tylko cech moralnych i fizycznych brawury, męstwa czy bitności. Żołnierz polski walką swą daje świadectwo zrozumienia głębokiego sensu tej wojny i swej woli politycznej, woli wywalczenia istnienia Polski takiej, jakiej Polak chce. Żołnierz polski nie czekał i nie czeka biernie na bieg wydarzeń, na wyzwolenie cudzym wysiłkiem. Wymownym świadectwem tego był ostatnio wybuch powstania warszawskiego.

Żołnierz polski nie jest też najemnikiem, ale walczy tam, gdzie mu to nakazują jego ideały i rozum polityczny. To nie przypadek, że żołnierz polski znalazł się na ziemi włoskiej. Fakt ten poświadczył światu, że w oparciu o Zachód walczymy — o Zachód, do którego od zarania naszych dziejów należymy i pragniemy należeć, czy kto inny tego chce czy nie chce. Droga do Polski dla żołnierza polskiego prowadzi właśnie przez Rzym — kultury i cywilizacji europejskiej oraz chrześcijańskiej.

Polskie Siły Zbrojne na obczyźnie wykazały, wbrew wrogim twierdzeniom, duże zdolności organizacyjne Polaków. Jednostki wojska polskiego, lotnictwa, czy marynarki odradzają się szybko mimo tylu klęsk i niepowodzeń, mimo wielu różnych niepomyślnych okoliczności oraz wśród obcych, nieznanych warunków.

Przez Polskie Siły Zbrojne, Rząd Rzeczypospolitej był nie tylko symbolem suwerenności, lecz prawdziwym rządem, mogącym zapewnić poważny wkład do wysiłku wojennego Sojuszników. Na wezwanie Rządu R.P. Polacy, zamieszkujący różne zakątki świata, spieszyli z pomocą swej ojczyźnie. Polskie Siły Zbrojne na obczyźnie stały się więc symbolem jedności wszystkich Polaków.

Mówiąc o wysiłku Polskich Sił Zbrojnych w czasie obecnej wojny i o ich wkładzie do wspólnego zwycięstwa Sprzymierzonych nie wolno zapominać o dwóch rzeczach.

Po pierwsze, że do walki stanęły nie tylko Siły Zbrojne, ale cały Naród Polski, który walkę tę prowadził i prowadzi nie tylko na polach bitew, ale na wszystkich odcinkach życia, codziennie, bez przerwy, bez żadnych kompromisów, czy jakiej "współpracy".

Po drugie należy pamiętać, że Polska nie tylko przyczyniła i przyczynia się przez walkę jej Sił Zbrojnych do militarnego zwycięstwa Sprzymierzonych, ale że dała ona Sojusznikom ważkie atuty moralne i polityczne.

Gdy nadszedł dzień 1 września 1939 zderzyły się dwa światy pojęć: z jednej strony świat ludzi, którzy wierzą tylko w siłę materialną, w siłę motoru i pięści, a z drugiej świat, dla którego ponad wartości materialne, doczesne istnieją jeszcze inne dobra: prawo, honor, sprawiedliwość. Polskie: "Nie", powiedziane na początku wojny nadało sprawie Sprzymierzonych — w której uczestniczy już wiele innych narodów z różnych względów — charakter wojny o ideały Europy wiecznej, chrześcijańskiej. Dlatego właśnie Polska stała się — według słów Roosevelta — "natchnieniem narodów".

Politycznie — Polska swą decyzją walki przerwała świadomie imperialistyczny pochód Niemiec zapoczątkowany w Nadrenii, a idący poprzez Austrię i Czechosłowację ku podbojowi Europy. Również sztywna postawa narodu polskiego wobec okupanta, wyrażająca się w postanowieniu, że na żadnym odcinku życia politycznego nie ma współpracy z Niemcem, że w Polsce nie ma "Quislinga" dała Sprzymierzonym duże korzyści moralno-polityczne.

Nie było naszym zamiarem ważenie ile krwi przelał który Sojusznik. Ponieważ jednak w opinii publicznej szermuje się niejednokrotnie argumentem ofiary, złożonej w tej wojnie, dla uzasadnienia pewnych praw czy roszczeń, postaramy się porównać ofiary Polski z ofiarami innych Sprzymierzonych.

Obok jest lista strat Polskich Sił Zbrojnych, sporządzona na podstawie danych w tej chwili osiągalnych, w czasie działań wojennych od dnia 1 września 1939 do dnia 1 września 1944.

Ogólnie straty Polskich Sił Zbrojnych, nie licząc strat poniesionych przez ludność cywilną również w walce z okupantem, wynoszą około 900 tysięcy ludzi. Te same dane dla całego Imperium Brytyjskiego do dnia 31 lipca 1944 wynoszą 926.900 ludzi, a dla Stanów Zjedn. 361.400 ludzi.

Tak więc same cyfry wykazują, że wysiłek Polski w tej wojnie okupiony został ofiarą krwi stosunkowo bardzo obfitą.

Naród Polski realnie pomógł i pomaga w dalszym ciągu do zwycięstwa obozu Sprzymierzonych nie żałując niczego, czym rozporządza. Jego jednak główny wkład do obecnej wojny, zważywszy ograniczoną siłę materialną, leży w dziedzinie moralno-politycznej. Wśród państw "osi" ten czynnik moralny od początku wojny był bez znaczenia, podczas gdy Narody Zjednoczone ceniły go wysoko. Dlatego też dotychczas rola Polski w tej wojnie była odpowiednio oceniana.

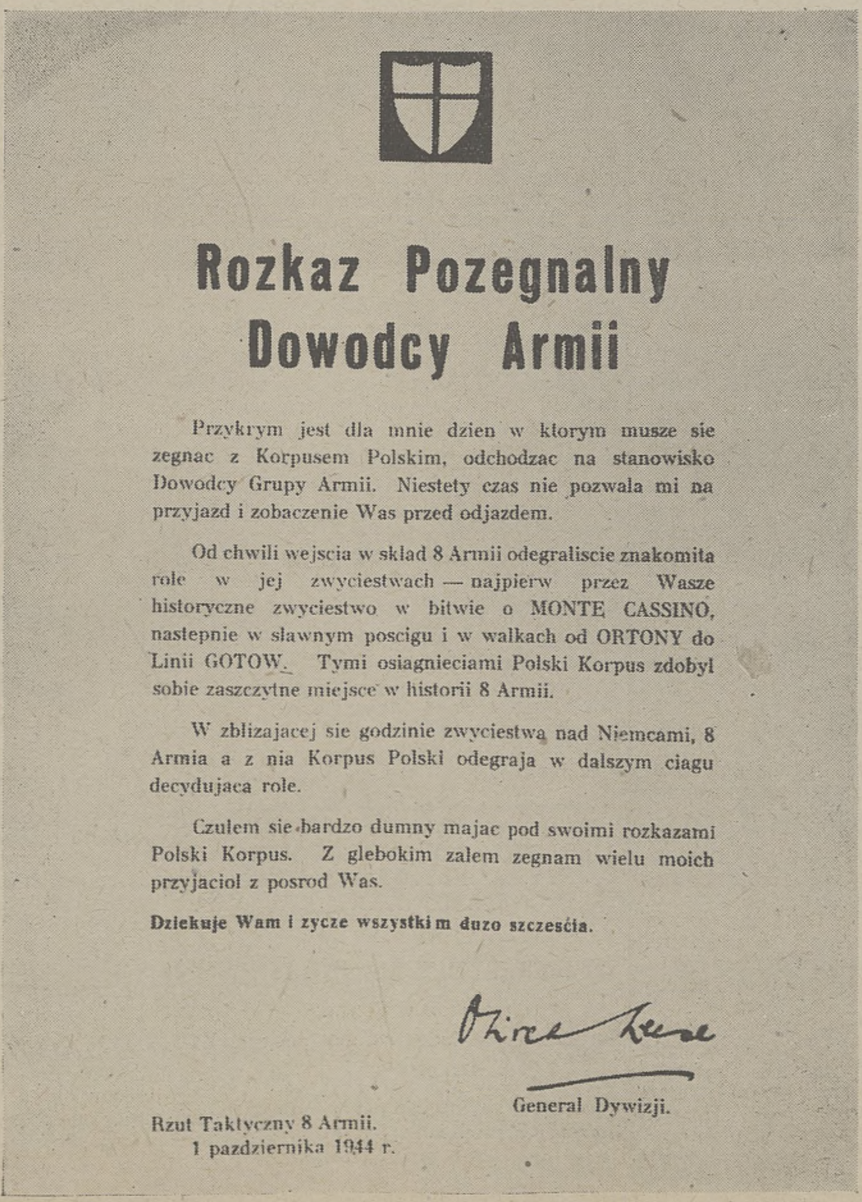
Gdy dziś, z powodu zmienności kolei losów, słyszy się głosy zapoznające to, co Polska dała Sprzymierzonym w tej wojnie — naszą odpowiedzią, mimo wszystko, będzie dalsza walka tak samo wierna i uparta oraz wiara niezłomna w zwycięstwo ostateczne tych ideałów, które nami kierowały na początku obecnych zmagań.

Taki jest wkład krwi i taka jest rola Polski w obecnej wojnie.

WITOLD LEITGEBER

KAMPANIA WRZEŚNIOWA 1939:		
Zabici i ranni w walce z Niemcami	200.000	
Zabici i ranni w walce z ZSRR	20.000	
w niewoli niemieckiej 1939 *r.*	420.000	
w niewoli sowieckiej 1939 *r.*	181.000	
internowani w krajach ościennych, dane z 1943 *roku*	10.000	
Razem		831.000
KAMPANIA NORWESKA, 1940:		
Zabici i ranni		300
KAMPANIA FRANCUSKA, 1940:		
Zabici i ranni	6.500	
internowani	10.500	
Razem		17.000
KAMPANIA LIBIJSKA, 1941:		
Zabici i ranni		900
LOTNICTWO I MARYNARKA WOJENNA 1940-44:		
Zabici i ranni		2.500
KAMPANIA WŁOSKA I NORMANDZKA, 1944:		
Zabici i ranni		10.000
ARMIA KRAJOWA /DO MARCA 1944/:		
Zabici i ranni tylko w działaniach operacyjno-sabotażowych		25.000
Ogólna suma		886.700

Rozkaz Dowódcy 8-ej Armii do żołnierzy II Korpusu Polskiego



Rozkaz Pozegnalny Dowodcy Armii

Przykrym jest dla mnie dzien w ktorym musze sie zegnac z Korpusem Polskim, odchodzac na stanowisko Dowodcy Grupy Armii. Niestety czas nie pozwala mi na przyjazd i zobaczenie Was przed odjazdem.

Od chwili wejscia w sklad 8 Armii odegraliscie znakomita role w jej zwyciestwach — najpierw przez Wasze historyczne zwyciestwo w bitwie o MONTE CASSINO, nastepnie w slawnym poscigu i w walkach od ORTONY do Linii GOTOW. Tymi osiagnieciami Polski Korpus zdobyl sobie zaszczytne miejsce w historii 8 Armii.

W zblizajacej sie godzinie zwyciestwa nad Niemcami, 8 Armia a z nia Korpus Polski odegraja w dalszym ciagu decydujaca role.

Czulem sie bardzo dumny majac pod swoimi rozkazami Polski Korpus. Z glebokim zalem zegnam wielu moich przyjaciol z posrod Was.

Dziekuje Wam i zycze wszystkim duzo szczescia.

General Dywizji.

Rzut Taktyczny 8 Armii.
1 pazdziernika 1944 r.

Przegląd tygodniowy

WALNA BITWA NA ZACHODZIE

Wcześniej, aniżeli wolno było się spodziewać, wyruszyła na zachodzie zimowa ofensywa Sprzymierzonych. Zaledwie oczyszczono z przeciwnika dostępy do Antwerpii, a jeszcze nie oczyszczono ujścia Skaldy i wód sąsiednich z min, jeszcze ogromny ten port nie zaczął przyjmować konwojów alianckich, gdy nastąpiło potężne uderzenie, a raczej szereg potężnych uderzeń od granicy szwajcarskiej na południu aż do łuku rzeki Mozy w Holandii na północy.

Na prawym skrzydle, w "luce belforckiej" i Wogezach nacierają 1 armia francuska i 7 armia amerykańska; pierwsza z nich, po szeregu zwycięstw zdobyła Belfort, wkroczyła do Alzacji, dotarła do Renu, osiągnęła Miluzę i Colmar, wzięła masy jeńców. W centrum 3 armia amerykańska Pattona poczyniła dalsze postępy w Lotaryngii; Metz, odwieczna potężna forteca, po raz pierwszy w dziejach, po szybkim zwalczeniu zewnętrznych fortów, wzięta szturmem.

Na lewo od niej, dalej na północy, w pogranicznym obszarze Nadrenii zarysowało się główne natarcie: trzy armie sprzymierzone biorą w nim udział. W obszarze na południowy-wschód od Akwizgranu 1 armia amerykańska Hodges'a wznowiła natarcie w kierunku Kolonii przełamując "linię Zygfryda" na froncie 40 km. Na lewo od niej pojawiła się nagle nowa 9 armia amerykańska Simpsona, atakując na wązkim froncie na północ od Akwizgranu i włamując się tu głęboko w naruszoną już poprzednio "linię Zygfryda". Dalej na lewo 2 armia brytyjska Dempseya po przeprowadzeniu działań zaczepnych w południowo-zachodniej Holandii, łamiących pozycje niemieckie nad średnią Mozą, nagle silnym prawym skrzydłem wdarła się w okolicy Geilenkirchen do Nadrenii, przyłączając się do natarcia Amerykanów i w 30 godzinach walki przebiła "linię Zygfryda" raz jeszcze.

Natarcia koncentryczne tych trzech armii na froncie 60 km. wskazują, że punkt ciężkości ofensywy leży na osi Akwizgran-Kolonia i że całość operacyj doprowadzić ma Sprzymierzonych w pierwszej fazie do Renu. Wielkiej koncentracji użytych sił odpowiada rozwinięta na skalę dotąd niebywałą potęga ognia artylerii i bombardowań lotniczych.

Jak przewidywaliśmy zatem ani deszcze jesienne ani chłody zimowe nie przyniosły końca kampanii na Zachodzie. Przeciwnie, weszła ona, po dłuższym okresie działań o zadaniach ograniczonych, w fazę wielkich rozstrzygnięć.

Niemcy, jak dotąd, biją się zacięcie, choć wartość ich wojsk coraz bardziej nierówna i mnożą się załamania lokalne.

Obok regularnych dywizyj biją się od dawna na tym froncie improwizowane "grupy bojowe", a w ich składzie w ubraniach cywilnych, oddziały "*Volkssturmu*", lokalnego pospolitego ruszenia ludowego, byle jak uzbrojone.

Według niemieckiego "obyczaju wojennego" /*Kriegsgebrauch*/ formacje podobne u przeciwnika uważa się za "wolnych strzelców" /*franctireurs*/, a żołnierzom ich grozi w razie ujęcia, kara śmierci. Wbrew konwencji haskiej mordowali też nieraz zarówno w wojnie poprzedniej jak obecnej nieregularnych żołnierzy najechanych krajów. Obecnie "obyczaj" ten mógłby się zwrócić przeciw nim samym.

Wiemy, że Sprzymierzeni nie pójdą tą drogą, gdy idzie o oddziały walczące z widocznymi odznakami i z zachowaniem zasad prawa międzynarodowego. "*Volkssturm*" będzie niebawem licznie reprezentowany w obozach jeńców.

INNE FRONTY

We Włoszech ofensywa Sprzymierzonych na Faenzę i Ravennę czyni powolne postępy, hamowana niepogodą, dotkliwą szczególniej w górach, gdzie walczą nasi.

Na Bałkanach Albańczycy oswobodzili swą stolicę, Tiranę. Odwrót niemiecki na Sarajewo i dalej do Chorwacji dokonywa się, jak dotąd, bez większych strat w jeńcach i sprzęcie.

Bitwa pod Budapesztem toczy się od dwóch tygodni ze zmiennym szczęściem, nie słabnącym natężeniem. Niemcy nie ukrywają powagi położenia w tej stronie.

Na reszcie frontu niemiecko-sowieckiego cisza. Czy cisza przed burzą? Moskwa zapowiadała od kilku dni ostateczne uderzenie Sprzymierzonych ze wszystkich stron na Niemcy. Świeżo zapowiadała, że najbliższy miesiąc ma przynieść pogrom Niemiec. Wobec rozpoczęcia się walnej bitwy na Zachodzie należy zatem oczekiwać wznowienia działań wojennych w Polsce i na froncie Prus Wschodnich, zwłaszcza, że zima tam nadeszła i błoto nie ubezwładnia już ruchów wojska.

Zanosi się więc na ziemi polskiej na ciężkie i długotrwałe bitwy. Prędkie ich rozstrzygnięcie mogłoby nastąpić tylko przez załamanie się wewnętrzne Niemiec.

Na razie notujemy tylko pogłoski neutralne o postępującym w Niemczech upadku ducha wobec beznadziejności położenia wojennego, o tym, że zniknięcie Hitlera /jakoby ciężko chory/ i przejęcie władzy przez Himmlera zwiększyło jeszcze przygnębienie. Pewnym symptomem są mnożące się dezercje dyplomatów i oficerów niemieckich z placówek zagranicznych. Zagrożeni "czystką" uciekają pod opiekę krajów neutralnych, w których pełnili służbę. Nie wiemy, czy nie są to już szczury, uchodzące z tonącego okrętu Trzeciej Rzeszy.

WOJNA I POKÓJ

Gdy głośno znowu o rozstrzygającym uderzeniu na Niemcy, piętrzą się nierozstrzygnięte sprawy polityczne, związane z wojną, z likwidacją wojny, z pokojem i jego organizacją.

Generał de Gaulle zaproszony został do Moskwy. Przewiduje się nowy sojusz francusko-rosyjski na wzór dawnego sprzed tamtej wojny. Francuski minister spraw zagranicznych Bidault, mówiąc o polityce Francji, wyraźnie zapowiadał nawrót do ówczesnej polityki: "serdeczne porozumienie" z Anglią, sojusz z Rosją. Ze sprzymierzeńców Francji z okresu przed tą wojną wymienił Czechosłowację, nie wspomniał Polski, choć sojusz polsko-francuski obowiązuje nadal i Polska dochowuje go, zgodnie z jego literą i duchem. Wierzymy mocno, że sojusz ten odnajdzie właściwe miejsce w polityce Francji odrodzonej.

Oczekuje się rychłego zjazdu "wielkiej trójki": Churchilla, Roosevelta i Stalina. Znowu stanie przed nimi sprawa Polski, która kiedyś była dla Churchilla jedynym współwalczącym sojusznikiem, a dla Roosevelta "natchnieniem świata". Od tego czasu dużo wody upłynęło w Tamizie. Dużo, bardzo dużo popłynęło krwi polskiej. Wiele się zmieniło w polityce mocarstw. Ale czynnikiem stałym i niezmiennym był ofiarny udział Polski w wojnie z Niemcami, udział nie na skalę podbitego narodu czy rzeszy wygnańczej, ale żywego, dużego państwa. Polska oczekuje, że pamięć o tym nie zawiedzie tych, którzy wzięli na siebie olbrzymią odpowiedzialność za kształtowanie losów świata.

Kształty tego świata powojennego nie zarysowują się wyraźnie. W ostatnich tygodniach zdawało się, że krystalizuje się koncepcja "bloku zachodniego", obejmującego W. Brytanię, Francję, Belgię, Holandię, ewentualnie Norwegię i Danię. Zdaje się, że koncepcja ta spotyka się z silnym przeciwdziałaniem Rosji i zwalczana jest w wyzwolonych krajach kontynentu zacięcie przez skrajną lewicę jako przejaw "imperializmu brytyjskiego". Akurat tak samo, jak nasza próba unii z Czechosłowacją ogłoszona została jako objaw "polskiego imperializmu".

We Francji i w Belgii wystąpiły kłopotliwe komplikacje z formacjami byłego ruchu podziemnego, które po oswobodzeniu tych krajów ani nie weszły do regularnych sił zbrojnych /jak francuska armia krajowa/, ani się nie rozwiązały, ale rozwijały się dalej i zbroiły, niebardzo wiadomo, przeciw komu zamierzając wojować, na razie zaś dopuszczając się wielu aktów samowoli i samosądów. W obu krajach rządy, wbrew silnej opozycji, groźbom i naciskom nakazały ich rozbrojenie i rozwiązanie. Wykonanie nie będzie łatwe, niewątpliwie jednak groźną sytuację opanowano, przy czym w Belgii interweniowało dowództwo alianckie, nie mogące znosić zbrojnej ruchawki na tyłach walczących armii. W Grecji znowu domagano się uznania byłej organizacji podziemnej o zabarwieniu komunistycznym za jedyną regularną siłę zbrojną a rozwiązania wojska, przybyłego z wojskami brytyjskimi ze Wschodu jako "nieregularnego" bo złożonego z ochotników. Zdaje się, że i tam dowództwo brytyjskie wyjaśniło, komu należy, sprawę.

W Persji trwa kryzys wywołany "gniewem ludu" przeciw "reakcyjnemu" rządowi, który nie chciał przyznać od razu Sowietom koncesyj naftowych w północnym Iranie. Odkładał sprawę na po wojnie, a rzekomo układał się o nie z kapitałem amerykańskim, oferującym lepsze warunki finansowe. Rząd podał się do dymisji, ale nie łatwo jakoś przychodzi utworzenie nowego, bardziej skłonnego do ustępstw w sprawie naftowej. Sumner Welles, były zastępca ministra spraw zagranicznych Stanów Zjednoczonych, w artykule napisanym z tej racji wyraził wątpliwości, czy suwerenność i nietykalność poręczona Persji w Teheranie ma wyglądać tak, że rząd jej musi spełniać każde życzenie potężnego sąsiada. Sądzimy, że sprawa jest ogólniejsza. Choć Persja ma dużo nafty, a Polska mało, Polska ma chyba niegorsze prawo do swojej. Życzenia zaś potężnego sąsiada w sprawach koncesyj naftowych są mimo wszystko czymś bardziej umiarkowanym od życzeń co do zmiany granic wedle własnego uznania, kosztem słabszego sąsiada, należącego do zjednoczonych narodów. Wprawdzie poręczono rok temu w Teheranie całość Persji, a nie poręczono całości Polski, ale wolność narodów stanowi sprawę jedną i niepodzielną i jedna i niepodzielna jest sprawa pokoju świata.

TRIARIUS

Z tygodnia na tydzień

13 listopada: Ogłoszono, że dnia poprzedniego okręt niemiecki "Tirpitz" został zatopiony bombami lotniczymi we fiordzie Tromsoe.

—W nocy z 12/13 brytyjska marynarka wojenna zniszczyła niemiecki konwój u południowych brzegów Norwegii. Spośród 11 statków 10 zniszczono.

—Niemcy wycofują się z okolicznych fortów koło Metzu.

14 listopada: Oddziały II. Korpusu zajęły Monte Casole i miejscowość Bagnolo, na płd. od Faenza. Polacy przekroczyli rzekę San Oggia, dopływ rzeki Lamone.

15 listopada: Ogłoszono, że w Niemczech wydany został dekret podporządkowujący niemieckie siły zbrojne partii hitlerowskiej.

16 listopada: I. i IX. armia amerykańska rozpoczęły działania zaczepne na płd.-wsch. i płn.-wsch. od Akwizgranu. Natarcie to zostało poprzedzone atakiem lotnictwa, w którym wzięło udział ponad 3.000 samolotów.

17 listopada: Wojska amerykańskie na odcinku frontu pod Akwizgranem zajęły miejscowości Stolberg i Gressenich, około 27 mil na zachód od Kolonii.

18 listopada: II. Korpus polski zajął Monte Fortino, na zachód od Forli i odparł kilka kontrataków niemieckich.

—II. Armia brytyjska rozpoczęła natarcie na pozycje niemieckie na północ od Akwizgranu, współdziałając z IX Armią amerykańską.

—Amerykanie walczą na przedmieściach Metzu.

19 listopada: Sześć armii Sprzymierzonych na froncie od Arnhem po Belfort posunęło się naprzód na swych odcinkach w kierunku Renu.

—Metz został całkowicie okrążony przez wojska amerykańskie.

O ostatnim wielkim wydarzeniu na morzu podajemy głosy sprawozdawcy morskiego i sprawozdawcy lotniczego.

Po zatopieniu: "Tirpitza"

12 listopada słynny niemiecki okręt liniowy "Tirpitz" legł na dnie morskim pod Tromsö, trafiony trzema pięciotonowymi bombami z "Lancasterów". Wbrew temu co się wielu laikom wydaje, wydarzenie to będzie miało doniosły wpływ na dalsze losy wojny — strategicznie i taktycznie.

Przejdźmy pokrótce historię tego okrętu. Spuszczony na wodę w r. 1939, wszedł do linii w końcu r. 1941 i jeszcze w próbach został zbombardowany w Kattegacie przez lotnictwo królewskie, a możliwe, iż został także trafiony torpedą okrętu podwodnego.

Po zajęciu Norwegii Hitler rozkazał przerzucić wyremontowany okręt do Trondhjem. Powzięty, ale niewykonany za czasów Wilhelma II, plan admirała Wegenera przewidywał koncentrację floty niemieckiej we fiordach Norwegii. Tam bazowana *Hochseeflotte* miała zarówno wolną drogę na Ocean, jak i wspaniałe możliwości blokowania Anglii z daleka i z bliska.

Jednak Wilhelm II nie zgodził się na ten plan, lękając się, iż pogwałcenie neutralności duńskiej i norweskiej wywoła nieprzychylny odruch świata. Hitler gwizdał sobie na opinię świata, ale wzamian . . . zabrakło mu *Hochseeflotte*. Okazało się, że za mało mieć *Luftwaffe* z okrętami podwodnymi, aby przerwać komunikacje przeciwnika, i otworzyć, choćby częściowo własne.

Koncentracja floty i przerzucenie jej przez Atlantyk nie udały się zresztą Hitlerowi. A strach pomyśleć co by się stało, gdyby okręty podwodne uzyskały równoczesne poparcie takich jednostek jak "Tirpitz" czy "Bismarck". Pomoc amerykańska dla Anglii i łączność z Dominiami prawie przestałaby istnieć.

Ale "Tirpitz", ulokowany w Norwegii, niczego nie dokonał i pod parciem *Royal Navy* cofać się musiał coraz dalej na Północ. W lutym 1942 samoloty morskie, startujące z lotniskowca, bombardowały go koło Narwiku. W kwietniu bombardowany był w Trondhjem. W lipcu tegoż roku otrzymał podobno dwie torpedy z sowieckiego okrętu podwodnego na Morzu Barentsa. We wrześniu 1943 ukrył się w Altenfiordzie /odnoga Kaa/, gdzie go dosięgły 3 torpedy z miniaturowych brytyjskich łodzi podwodnych. Od tego czasu nie mógł się już ruszyć na żadną operację.

W kwietniu 1944 zastały go w tym samym miejscu samoloty marynarki brytyjskiej, torpedujące i bombardujące. Okręt został znów poważnie uszkodzony. O.R.P. "Piorun" brał udział w tej operacji. W sierpniu atak z lotniskowca powtórzono z dobrym skutkiem. We wrześniu wysłano przeciw "Tirpitzowi" ciężkie bombowce lądowe "Lancaster", ale wyniku konkretnego nie osiągnięto.

Tymczasem Rosjanie przeszli granicę Norwegii i Niemcy musieli "Tirpitza" za wszelką cenę z Kaa usunąć. Prowizorycznie wyreperowany okręt, nie posiadając pełnej swobody ruchu, ale korzystając z niepogód jesiennych, przeszedł do Tromsö. Tym razem "Lancastery" miały ułatwione zadanie /1.200 mil lotu zamiast 1500/, ale przeprowadzony 29 października atak — również nie dał rezultatów. Dopiero ostatni atak /32 bombowce/ przyniósł upragniony finał w dniu 12 listopada. Nie trzeba dodawać, że we wszystkich atakach lotniczych marynarka brała bądź bezpośredni, bądź pośredni udział.

Zatopienie "Tirpitza" jest przede wszystkim żywym przykładem współpracy strategicznej i operacyjnej trzech głównych części Sił Zbrojnych: Wojska, Marynarki i Lotnictwa. Marynarka bowiem go uszkodziła i unieruchomiła, wojsko zmusiło do opuszczenia kryjówki, a lotnictwo wyśledziło i wykończyło.

Z drugiej strony widać jak wielki był błąd Hitlera, gdy sądził że silne lotnictwo wystarczy mu do zastąpienia brakujących okrętów. W rezultacie *Luftwaffe* ani sama nie potrafiła uporać się z współdziałaniem *Royal Navy* i *Royal Air Force*, ani też w krytycznym momencie nie umiała dać wsparcia własnej flocie. Brak lotniskowców i samolotów dalekiego zasięgu krępował poczynania morskie Raedera i Doenitza. W końcu Norwegia stała się śmiertelną pułapką dla okrętów niemieckich, których jedyna droga odwrotu wiedzie poprzez wody leżące w zasięgu taktycznej blokady brytyjskiej. Zniszczenie konwoju niemieckiego koło Listerfiordu świadczy o tym wymownie.

Jednak obecność tych okrętów z "Tirpitzem" na czele, stanowiła poważne zagrożenie dla konwojów, zaopatrywujących Rosję. Sprzymierzeni musieli stale trzymać tu znaczne siły w postaci 4 — 6, a po zatopieniu "Bismarcka" i "Scharnhorsta" — dwóch okrętów liniowych, licznych krążowników i eskortowców. Obecnie pozostaje tylko zmniejszona obawa okrętów podwodnych. To też z jednej strony ułatwione zostanie zaopatrywanie Rosji, z drugiej wielkie okręty brytyjskie przejść będą mogły na ważniejsze teatry operacyjne.

Lekcja jest prosta: w całości strategicznej obrony państwa, okręty istnieją po to, aby walczyły. Chowanie ich lub przeznaczanie do wypadów korsarskich prowadzi prędzej czy później do ich zguby, bez żadnej własnej korzyści. "Tirpitz" w swej czteroletniej karierze nie zatopił ani jednego okrętu nieprzyjacielskiego. Wygnane z ojczyzny, małe i nieliczne okręty Polskiej Marynarki Wojennej, zatopiły przez ten czas pół setki.

Okręt jest zbudowany po to, aby działał i walczył na morzu, w porcie zaś przebywał tylko w związku z naprawą lub uzupełnieniem zapasów. Jeśli dzieje się na odwrót i okręt wychodzi na morze rzadko i okolicznościowo, koniec bywa taki, jak okrętów Wilhelma, Mussoliniego i Hitlera: niesławny i niepożyteczny.

Lotnictwo jest dziś bronią mistrzowską i arcygroźną; ale jego pełna wartość osiągnięta zostaje dopiero przy współdziałaniu z marynarką lub wojskiem. I jak to jeden z wybitnych publicystów brytyjskich pisał: "Zwycięstwo będzie tego, kto zrozumie najlepiej współpracę strategiczną i operacyjną, a równocześnie odrębność organizacyjną trzech głównych dziedzin obrony państwa: marynarki, lotnictwa i wojska".

A już bardzo wystrzegać się trzeba /i cała prawie prasa brytyjska to powtarza/ poglądów w rodzaju: "Po co okręty, skoro jeden bombowiec zatopi największy okręt"? Bo takie "uproszczone" rozumowanie doprowadziło właśnie do bankructwa strategii Hitlera. *Luftwaffe* nie zatopiła ani jednego brytyjskiego pancernika czy choćby krążownika w którejkolwiek z baz Zjednoczonego Królestwa. Natomiast niemieckie okręty ginęły jeden po drugim, wskutek doskonałego współdziałania *Royal Navy* z *Royal Air Force*.

JULIAN GINSBERT

★ ★ ★

Zatopienie "Tirpitza", 45,000 tonowego, bodajże największego i najlepiej uzbrojonego pancernika świata, zmieniło całkowicie sytuację na morzach. Mimo, iż "Tirpitz" był poważnie uszkodzony, pozostawanie jego we fiordach północnej Norwegii wiązało poważnie siły morskie Wielkiej Brytanii, przytrzymując je na północy. Te siły są już w tej chwili wolne i mogą być użyte na innych wodach. Możemy śmiało wyrazić przypuszczenie, że na pewno będzie to oznaczać wzmocnienie floty Dalekiego Wschodu na Oceanie Spokojnym. Na morzach europejskich nie są już potrzebne wielkie jednostki morskie, chyba do pewnych operacji na terenie Adriatyku lub Śródziemnym. Jednak walki morskiej, z flotami przeciwnika nie będzie tu więcej. Floty niemieckie spoczywają już na dnie morza zaś wysługiwanie się flotami satelitów także przeszło w sferę marzeń . . .

Zatopienie "Tirpitza" ma jeszcze inne skutki, tym razem w dziedzinie lotnictwa. Niewątpliwie Niemcy musieli utrzymywać wcale poważne siły powietrzne na terenie Norwegii do osłony swego pancernika. Otóż te siły — będą znów w rozporządzeniu *Luftwaffe*. Ich zadanie skończyło się, niesławnie coprawda, lecz w każdym razie skończyło się. Jak ich *Luftwaffe* użyje — nie wiadomo.

Podkreślić należy także znaczenie zatopienia "Tirpitza" jako pewnego rodzaju rewolucję dotychczasowej strategii morskiej i lotniczej, co w następstwie powinno wpłynąć na układ międzynarodowych sił wojennych na świecie. "Tirpitza" zatopiły samoloty **b o m b a m i**, nie torpedami. Jest to właściwie pierwszy wypadek, by zatopienie potężnie opancerzonego olbrzyma, "niezatapialnego" z racji swej budowy — według zdania znawców — spowodowały bomby.

Sprawdziło i utwierdziło to już dawniej wysuwany pogląd o górowaniu lotnictwa nad innymi broniami. Lotnictwo nie tylko stało się bronią nieodzowną i decydującą na równi z czołgami i artylerią na polu bitwy lądowej, lecz także zadominowało ostatecznie nad morzami. Zatopienie "Tirpitza" przynieść powinno w przyszłości konieczność rewizji dotychczasowego sposobu budowania okrętów wojennych, kto wie, czy nie postawi pod znakiem zapytania egzystencji ciężkich jednostek flot?

Nie można tego twierdzić stanowczo, jest to sprawa przyszłości, wielce prawdopodobna. W tej chwili tylko wiadomo, że wielka jednostka morska, pancernik, czy ciężki krążownik jest zupełnie bezbronny bez osłony lotnictwa. Osłona w dotychczasowym zakresie, myśliwce z lotniskowców, broniła go przed samolotami torpedowymi, tym istotnym i jedynym niebezpieczeństwem, groźnym wrogiem pancernika. Lecz taktyka samolotów torpedowych jest tego rodzaju, że w gruncie rzeczy obrona była łatwa, o ile ogień przeciwlotniczy był skuteczny, a eskorta lotnicza czynna. Lecz jeżeli pancerniki zostaną zagrożone z powietrza setkami latających olbrzymów — czy obrona w ogóle będzie możliwa? Jest znaną rzeczą, że nie ma takiej siły, któraby przeszkodziła masie bombowców dojść nad cel. Tak jest na lądzie, gdzie można użyć różnorakich i nieograniczonych środków opl. — na morzu są one ograniczone.

M. J. GORDON

Szpital nagłej śmierci

/Polscy spadochroniarze w Holandii/*

SŁUŻBA "TYŁOWA" W SAMYM ŚRODKU "FRONTU"

Służba zdrowia w oddziałach spadochronowych jest jedną z najtwardszych służb. Jeszcze lekarze i sanitariusze nie zdążyli zrzucić z siebie spadochronów po wylądowaniu na holenderskiej ziemi, jeszcze nie zdołali odnaleźć i rozładować zasobników z obfitym i cennym sprzętem, jeszcze na lądowisku trwała walka z Niemcami, kule śpiewały chórem i panował chaos, jak to zawsze po wylądowaniu, zanim żołnierze nie odnajdą się nawzajem i nie utworzą oddziałów — a już trzeba było organizować pierwszą pomoc dla rannych i uszkodzonych w czasie lądowania.

Wojsko zbiera się i szybko podąża na z góry wyznaczone miejsca zbiórki, wsiąka w teren i oddala się ku swoim zadaniom. A służba zdrowia obarczona rannymi i całym swoim sanitarnym kramem schodzi ostatnia z lądowiska, a i potem powraca tam, lub usiłuje powrócić, aby odszukać resztę rannych i dotrzeć do wszystkich zakątków terenu, pokrytego przez rozrzut spadochronów. Dzieje się to w środku wojsk niemieckich, a jedynym atutem, który się ma w ręku, to oszołomienie wroga, zaskoczonego desantem powietrznym, oszołomienie, mogące w każdej chwili wygasnąć i przerodzić się w przeciwuderzenie.

Środków transportowych do przewożenia rannych nie ma. *Jeepy* wylądowały na szybowcach po drugiej stronie rzeki. Zanim się odnajdą — nigdy nie odnalazły się w tej bitwie — sanitariusze rekwirują Holendrom wóz-platformę z koniem. Ta "rekwizycja" jest raczej ścisłą i ofiarną współpracą miejscowej ludności w niesieniu pomocy rannym spadochroniarzom.

GŁÓWNY PUNKT OPATRUNKOWY W MIEJSCU, W KTÓRYM BARDZO "ŚMIERDZIAŁO"

Są takie miejsca na froncie, o których żołnierz powiada, że tam "śmierdzi". Będzie to zazwyczaj jakieś skrzyżowanie ważnych dróg, sąsiedztwo wybitniejszych budynków, wysokiej wieży kościoła — słowem punkty, które same narzucają się uwadze dowódców planujących ogień na pozycje nieprzyjaciela.

Żołnierze wolą omijać takie miejsca z daleka. Nikt tam nie szwęda się bez potrzeby, a jeżeli już musi przejść, to przeskakuje szybko, nasłuchując bacznie, czy nie leci. — Co? . . . Oczywiście pocisk artyleryjski, bo żelazne plwociny ciężkich moździerzy walą się na łeb bez uprzedzenia, jak grom z jasnego nieba. Oddziały, którym rozkaz wyznaczył stanowiska w podobnych, przeklętych miejscach, ryją się w ziemię jak najgłębiej i są z zasady głównymi dostawcami zabitych i rannych.

Ranny na "normalnej" wojnie ma przynajmniej tę pociechę, że sanitariusze wyniosą go spod ognia na pierwszej linii i odtąd, w miarę jak będzie przechodził z rąk do rąk służby zdrowia, świat dla niego będzie się stawał coraz to cichszy i bardziej przytulny. Mądra sieć organizacyjna tej błogosławionej służby uchwyci zbolałe ciało żołnierskie wysuniętymi mackami patroli sanitarnych, udzieli pierwszej pomocy, odstawi na punkt zborny, przekaże na G.P.O., które nie oznacza bynajmniej *"General Post Office"*, tylko "główny punkt opatrunkowy". Tam czeka na rannego cały komfort, jaki można mieć na froncie, i rychły odjazd do szpitali na coraz to dalszych tyłach. Ale w warunkach walki spadochronowej nie tylko droga przybycia na front jest nader zwariowana, lecz także wszystko to, co potem się dzieje na ziemi, jest trochę nie z tego świata . . .

W Drielu pod Arnhem, gdzie Brygada Spadochronowa uchwyciła południowy brzeg Renu, nasz G.P.O. znajdował się właśnie na skrzyżowaniu ważnych dróg, właśnie w wybitniejszym budynku, właśnie przy wysokiej wieży kościelnej — czyli w miejscu, w którym bardzo, ale to bardzo "śmierdziało".

Nie było innej rady. Stanowiska zdekompletowanych oddziałów Brygady otaczały nieduży obszar i tylko tam — w budynku szkoły — można było znaleźć odpowiednie pomieszczenie dla punktu opatrunkowego, który, jak z góry można było przewidzieć, rozrósł się rychło w cały szpital, bo przecież na żadną ewakuację rannych, przynajmniej w pierwszych dniach, nie można było liczyć.

SZPITAL OBOK LINII STANOWISK

Kiedy po paru dniach ostrzeliwania Drielu przez Niemców jeden z pocisków artyleryjskich rozerwał się pośród żołnierzy kompanii zaopatrywania, pozabijał i poranił kogo mógł, a w tym paru moich znajomych, dopiero wtenczas w nawale różnych wrażeń przypomniałem sobie, że nie widziałem jeszcze naszego szpitala. Przemykając się chyłkiem ulicą wsi, spostrzegłem, że idę tam, gdzie zawsze najgęściej padały pociski. Bo to było właśnie miejsce, w którym "śmierdziało". Trafiłem jednak na chwilę ciszy, to znaczy tu i tam trzaskał pocisk z moździerza, ale artyleria niemiecka zza rzeki uspokoiła się na pewien czas, a nad głową furczały granaty artyleryjskie lecące z południa, a więc nasze, kochane, brytyjskie!

W przerwie między domami, w owocowych sadach wystawały spod ziemi baniaste hełmy naszych żołnierzy schowanych w głębokich dołach. Łańcuch tych stanowisk dotykał niemal samego budynku szpitala. Naokoło domy porozbijane artylerią i puste, piękne niegdyś jabłonie, pościnane i pokaleczone. Przed szkołą zabity koń. Sam budynek szpitala nadgryziony ze wszystkich stron. Tuż u wejścia kałuże krwi . . .

— . . . ludzkiej — dopowiada mi porucznik lekarz Mz., którego spotykam na progu szpitala. Wygląda dosłownie jak rzeźnik w tym swoim gumowanym fartuchu, pomazanym krwią. — Chodźmy do wewnątrz, bo tutaj niebezpiecznie stać — powiada wciągając mnie do korytarza.

ANIOŁ W PIEKLE

Rzucam okiem w pierwsze otwarte drzwi. Pokój zatłoczony żołnierzami i cywilną ludnością. Większość leży na podłodze lub siedzi przykucnięta pod ścianami. To ranni po ostatniej salwie artyleryjskiej. Przez prowizoryczne opatrunki przecieka krew. Sanitariusze kładą ostrożnie na nosze żołnierza brytyjskiego. Mała dziewczynka z zabandażowaną głową spogląda na niego dużymi, niebieskimi oczyma. Nie ma w nich strachu, tylko źdźiwienie, straszne zdziwienie dziecka.

Mój znajomy leży w dużej sali, zatłoczonej rannymi. Nosze zastępują łóżka.

—Jak się czujesz? — nachylam się nad podchorążym B.

Wykrzywia się z niesmakiem.

—Prześladuje mnie jakiś cholerny pech. Każdą wojnę spędzam w szpitalu. Ledwo zjawię się na froncie, a już muszą mnie przetrącić. Tak było we Wrześniu, we Francji, a teraz już trzeci raz. Niech to krew zaleje.

Rzeczywiście pech. W tej chwili wzrok mój pada na dziwnego żołnierza, który mając na sobie kombinezon i hełm, siedzi skulony pod ścianą, jakby ktoś przed chwilą trącił go pałką w łeb.

—Co ci się stało?

—Ja jestem kapral Anioł . . . — odpowiedział zmęczonym głosem.

Oczywiście nie musiał mi nic więcej mówić. Jego przygodę znał już cały Driel. Był to sanitariusz. Pracując przy kuchni poszedł ze swoim kolegą do szopy po węgiel. W tym momencie pocisk moździerza przebił dach i eksplodował na hełmie Anioła. Tylko człowiek o takim nazwisku mógł ujść z życiem z tej przygody. Aż trudno było uwierzyć. Drugi sanitariusz padł ciężko ranny, a kapral Anioł zaczął się palić. Sam jednak zdołał wyskoczyć na zewnątrz szopy i ugasić w wodzie przydrożnego rowu swój *battle-dress*, palący się na barkach i plecach. W hełmie pozostał tylko nieznaczny dołek. Słowem, prawie cud.

Oczywiście kapral Anioł był potem silnie zszokowany, ale kiedy z nim rozmawiałem, zachowywał się całkiem przytomnie i nawet naszą rozmowę przerwał jeden z sanitariuszy, wołając go do roboty. Sanitariusze nie mieli czasu chorować.

Biedny Anioł już nie żyje. Poległ od pocisku ciężkiej artylerii podczas następnego bombardowania szpitala.

"KLUB POŁAMANYCH NÓG" I IMPROWIZOWANA OPIEKA LEKARSKA

Rozglądam się po sali i widzę więcej znajomych twarzy. W innym kącie rozsiadło się kilku i prowadzą wesołą rozmowę. Powiadają, że to klub połamanych nóg. I rzeczywiście każdy z nich posiada jedną nogę w formie potężnej maczugi z gipsu i bandaży. Wielu jednak leży nieruchomo i cicho, są przykryci kocami, a ksiądz kapelan spogląda na nich ukradkiem — i wiem, co ma na myśli.

Na sali operacyjnej nieustający ruch. Trzej porucznicy — chirurdzy Br., Mn. i Mz. harują od rana do wieczora i od wieczora do rana. Tak samo reszta lekarzy, jak i wszyscy sanitariusze.

I dziw mnie bierze, jak tu wszystko idzie sprawnie, jak tu wszystko jest, chociaż cały ciężki sprzęt lekarski lądował z rzutem szybowcowym po drugiej stronie rzeki, a pozostało tylko to, co mieli w zasobnikach i *kitbagach*.

Oczywiście Holendrzy idą z pełną pomocą, ofiarowując nie tylko żywność i sprzęt, ale nawet własną krew do transfuzji dla ciężko rannych żołnierzy.

Sanitariusze nie oglądając się na pomoc radzą sobie wspaniale. Pocisk zabił krowę w pobliżu szpitala, więc ranni mają już świeże mięso na obiad. Samoloty zrzucając zaopatrzenie dla wojsk powietrznych za Renem, przez omyłkę opuściły parę zasobników w pobliżu Drielu — jest w nich żywność i środki lecznicze. Chociaż Niemcy również czatują na te dary z nieba, nasi podchwycili im sprzed nosa i znów szpital się wzbogacił.

SZPITAL JAKO CEL OSTRZELIWANIA

Wychodzę na korytarz. Podporucznik S. chwyta mnie za rękę i ciągnie, abym usiadł obok niego na podłodze. W pobliżu nas siedzi kilku sanitariuszy, mają chwilkę wytchnienia.

—Pogadamy trochę, a tak jest bezpieczniej — mówi podporucznik.

I teraz, kiedy siedzę na podłodze, zauważam, że wszyscy w szpitalu, jeżeli na to pozwala praca, starają się trzymać, jak najbliżej podłogi. I teraz również zdaję sobie sprawę, że cały personal szpitalny i większość rannych mają na sobie stale hełmy i pancerze przeciwkulowe. Nawet lekarze przy operacjach. W tym momencie słyszę brzęk tłuczonej szyby.

—To kula *snipera* — informuje uprzejmie podporucznik S. — Widzisz tę dziurę w ścianie i tamtą w suficie — to są ślady od kul. A te rysy na murze pochodzą od moździerza. Pocisk artyleryjski jeszcze bezpośrednio nie trafił.

—A czy jest płachta z czerwonym krzyżem na dachu? — pytam się naiwnie.

—Dziesięć na dziesięć yardów. "Messerschmitty" natychmiast zauważyły i jak zaczęły prać! . . .

Niemiecki obserwator artyleryjski też zauważył . . . Potrzeba ewakuacji rannych stała się nadzwyczaj pilna. Po dojściu do nas pierwszych elementów sił lądowych wyewakuowano wszystkich rannych. W samą porę, bo artyleria wygarnęła w budynek szpitalny, urywając część ściany i dachu. Ale walka toczyła się intensywnie i szpital znów wypełnił się rannymi.

Sanitariusz w czasie akcji Druhem — Driel



"STUKNIĘTY LEKARZ" I OTWARTA TĘTNICA

Jeden z przyjaciół lekarzy wylądował w czasie desantu na głowę i czuł się mętnie.

—Pójdę do szpitala. Może mi oni coś pomogą — oświadczył nam słabym głosem. I poszedł.

Dzień był bardzo gorący, artyleria i moździerze orały na całego naszą wieś.

Chory dał się zbadać lekarzom, swoim przyjaciołom.

—Masz, biedaku, prawdopodobnie lekki wstrząs mózgu — skonstatowali miłosiernie. — Poleż sobie tutaj, odpocznij trochę. — I spojrzeli na niego przeciągle.

—Lepiej ci? — zapytaliśmy go, kiedy powrócił.

—Tak, odpocząłem i jest mi lepiej, o wiele lepiej! — odpowiedział obrzucając nas niechętnym wzrokiem. A po chwili wszystko nam opowiedział.

W szpitalu przygotowywano się do następnej ewakuacji chorych i przed budynkiem zatrzymały się sanitarki. A tu nagle jak nie przywali pocisk artyleryjski w sam budynek. Jeden, drugi, trzeci . . . Odłamki, tynk, strzępy desek, dym i kurz zmieszały się wewnątrz budynku potwornym kłębem. W sali operacyjnej lekarze podwiązywali właśnie tętnicę w przegubie ręki rannemu, który leżał pod narkozą na stole. Ściana wali się, opatrunki fruwają w powietrzu, smród i gryzący dym. A tu z tętnicy rannego tryska fontanna krwi i trzeba ją jak najszybciej zatrzymać. Lekarze zatrzymali krew i uratowali życie żołnierzowi.

Lekarze i sanitariusze Brygady Spadochronowej w bitwie o Arnhem nigdy nie przerywali swojej wspaniałej pracy, chociaż świat walił się im na głowy. Szli wszędzie tam, gdzie szli żołnierze walczyć, wynosili rannych spod najgorszego ognia, dokonywali najtrudniejszych operacyj mając na sobie hełm i pancerz, bo kule i odłamki rozrywających się wokół pocisków fruwały po wnętrzu szpitala. Sami ranni jak najkrócej zajmowali się sobą. I ginęli, jak na spadochroniarzy przystało.

GO ON . . .

Dowiedziawszy się o rozbiciu szpitala, poszedłem tam w towarzystwie oficera, który na wiadomość o tym, co się stało, rzekł z typowym dla nas wszystkich cynizmem, który dawał nam równowagę ducha:

—Nareszcie dostanę obiecany mi pancerz, bo swego nie wziąłem z Anglii.

W ruinach szpitala zaprowadzono nas do koszów spadochronowych /do zrzucania zaopatrzenia na spadochronach/, w których skrzętni sanitariusze gromadzili oporządzenie po zabitych żołnierzach. Duży mieliśmy tam wybór pancerzy. Niektóre były zupełnie całe. Ten dostał w głowę — myślało się w tym momencie. Ale większość była porozrywana, postrzępiona i pozlepiana — krwią.

—To plon dzisiejszego dnia — powiedział naczelny lekarz, wprowadzając mnie do pokoju, gdzie na podłodze leżał wyrównany szereg zabitych żołnierzy.

Kiedy wychodziłem, zastąpił mi drogę porucznik lekarz B., przez chwilę milczał, bo jest fantastycznym flegmatykiem, wreszcie zrobił tajemniczą minę i rzekł po swojemu, tak jakby nie chciało mu się ruszać wargami przy mówieniu:

—A teraz dobry kawał. Opatrywaliśmy rannego żołnierza-Anglika. Leżał na stole, a tu nagle grzmot, dziura zrobiła się w suficie, a nasz ranny zniknął pod grubym pokładem tynku. Rzuciliśmy się go odgrzebywać. Był przytomny. Nagle, jak gdyby nic, uśmiechnął się do nas i rzekł: *Go on, I am all right.*

Roześmieliśmy się wesoło — na tle ruin tego szpitala i w pobliżu zwłok żołnierzy. Bo tak jest na froncie. Tak musi być na froncie. Wtenczas, jak w służbie zdrowia Brygady Spadochronowej, wszystko jest *all right*!

EUGENIUSZ ROMISZEWSKI

Por. poprzednie artykuły w nr. 41, 42, 43 i 44 "Polski Walczącej" z b.r.

Z frontu włoskiego

Saperzy Karpaccy torują drogę



Tablica ostrzegawcza na polu minowym

Siedzę w miękkim fotelu, w pięknym, zabytkowym pokoju, naprzeciw młodziutkiego oficera, który zza niebieskawych kłębów dymu od papierosa — opowiada spokojnym głosem "zwyczajną opowieść" o swych niedawno przeżytych wrażeniach bojowych. Czasami błękitne oczy błyszczą mu ogniem, kiedy mówi o jakimś powodzeniu lub o wesołym zdarzeniu. Czasem szarzeje na chwilę i jakby smutnieje, kiedy opowiada o trudach służby saperskiej i o stratach, jakie pociąga za sobą. Jest saperem, kocha swą służbę.

Saper, to brzmi groźnie. Pojęcie sapera kojarzy się natychmiast z ponurym narzędziem zbrodni — miną. Zawsze myślałem, że saperzy to jacyś straszni ludzie-wyrwidęby. To prawda: są straszni, kiedy przeprowadzają zniszczenia, są straszni, kiedy kładą miny i są błogosławieni przez całą armię — kiedy otwierają drogi, rozbrajają miny, budują mosty i przejścia . . . Saperzy — bezimienni bohaterowie, o których komunikaty oficjalne mówią raz na sto lat, a których żołnierze wszystkich broni i służb nauczyli się w boju szanować, a nawet wielbić.

Por. W. mówi, właśnie skończył palić. Posłuchajmy jego przygód z frontu adriatyckiego. Muszę jeszcze od siebie dodać, że por. W. "nie jest straszny", przeciwnie — uroczy, o łagodnym spojrzeniu i miękkim, aksamitnym głosie . . .

—"Wyruszamy do pościgu. Pogoda jak na złość psuje się, leje rzęsisty deszcz. Niespodziewane zmartwienie, szczególnie teraz, gdy przewidujemy, że Niemcy nie zostawią nam żadnego mostu całego i rzeki trzeba będzie forsować brodami.

Nasz pluton idzie w szpicy baonu i ma za zadanie umożliwiać przejście reszty oddziałów. Jedna drużyna posuwa się z oddziałem rozpoznawczym, idącym daleko w przodzie, naprawia i rozminowuje drogę na tyle jedynie, by "przepchnąć" carriery i czołgi. Pozostałą robotę wykona reszta plutonu saperskiego. Jedziemy tak już dwa dni — i nic! Niemcy nie myślą czekać, znikają sprzed nosa niemal, niszczą wszystkie mosty, przy czym nie zapominają położyć min na objazdach. Nie ma z tym wielkiego kłopotu, bo ludność cywilna wskazuje nam dokładnie możliwe przejścia przez rzeki i miejsca zaminowane.

Chciałem podkreślić — przerywa porucznik tok opowiadania — że przy rozbrajaniu min nasz polski wykrywacz okazuje się skarbem, bo wykrywa nawet miny drewniane, przy których są tylko żelazne zawiaski . . .

Kwaterujemy w miejscowości O. Otrzymuję zadanie. Z przykrością dowiaduję się, że muszę wstać o trzeciej rano. Trudno. Nazajutrz, skoro świt — ruszamy: bantam i wóz z drużyną saperską. W miejscowości C. dowiaduję się, że oddział rozpoznawczy już wyjechał. Pędzimy na pełnym gazie, ale — jak to się zwykle w drodze zdarza — wóz nagle stanął. Klniemy! Poradziłem dolać trochę benzyny i wóz ruszył natychmiast — dodaje porucznik z uśmiechem.

Po pół godzinie jazdy dopędzamy carriery i po zameldowaniu się ruszamy dalej już razem. Na czole carrier, potem bantam pionierów, potem mój i reszta pojazdów. W miejscowości M. dowiadujemy się, że Niemcy byli tu przed dwiema godzinami i wieją na piechotę. To nam od razu poprawia nastroje, zostawiamy niedopite wino i — jazda dalej, byle nie tracić czasu! Ledwie zdążyli mi koledzy nakleić na samochód wielki afisz z wymownym napisem: *"A morte i Tedeschi!"*

Po kilku kilometrach zatrzymuje nas zniszczony most i miny dokładnie położone na objeździe. Dobra robota, myślę w duchu. Jakaś babina płacze, słychać jej lamenty z wnętrza chałupy. Trzęsie się ze strachu, bo niedawno byli u niej Niemcy i zrabowali jej cały dobytek i żywność. Z jednego domku łączymy się telefonicznie z sąsiednim miasteczkiem, ale nie uzyskujemy żadnych informacji, gdyż krążą tam jeszcze Niemcy. Zabieramy się więc do min i po chwili droga jest wolna. Korzystam z pomocy dwu saperów z wykrywaczem i taśmami do wytyczenia objazdu. Jest on dość przykry, bo biegnie przez uprawne pole, które po deszczu rozmiękło do tego stopnia, że wóz artyleryjski musi wyciągać grzęznącego carriera.

W tym samym czasie patrol piechoty przyprowadza pięciu jeńców. Jeden z nich jest Polakiem i to ratuje posiadany przez niego połeć słoniny, chociaż ślinka nam cieknie na jej widok.

Kończymy badanie drogi i ruszamy dalej. Docieramy do m. T. Patrole nasze szukają do przodu i na skrzydła, a my zatrzymujemy się na rynku. Otaczają nas tłumy ludzi. Wiwatują na naszą cześć. Niektórzy z nich to partyzanci-patrioci. Każdy z nich usiłuje podać jakąś informację o nieprzyjacielu. W ogólnym zgiełku zdołałem tylko podchwycić, że most na rzece jest podminowany, ale jeszcze nie wysadzony. Nalegam na dowódcę szpicy, by pędzić dalej.

Po kilku minutach jazdy nagle rozległy się strzały. To nasz patrol, wysłany wprzód, zauważył Niemców. Natychmiast nasza broń automatyczna jest na stanowiskach. Otwieramy ogień do grupy Niemców, którzy krzakami wycofują się w odległości 200 mtr. od nas. Dwu z nich rozciągnęło się na murawie. Reszta zwiała. Te strzały pomagają nam w rozpędzeniu tłumów, które utrudniają nam posuwanie się i wszelką akcję.

Tymczasem wraca patrol, prowadząc jeńca — oficera niemieckiego i motocykl z obfitym zapasem . . . czekolady. Świetnej czekolady — dodaje z uśmiechem porucznik. — Saper Karolek S. wypytuje jeńca o zniszczenia. Otrzymuje hardą odpowiedź: "Jestem oficerem i nie mam przyjemności z tobą rozmawiać!" Dobrze, że Karol to spokojny człowiek. Dopiero na pytanie mojego kolegi, oficera pionierów, ppor. C., udziela nieco wiadomości.

Wtem okrzyk: "Jadą Niemcy!" przerywamy dalsze badanie. Kilka serii z *Thompsonów* i znów mamy trzech jeńców i motocykl. Przyjechali do nas od tyłu. Zgodnie stwierdzają, że nie spodziewali się jeszcze nadejścia naszych wojsk.

Teraz ruszamy już na most. Pierwszy carrier, który do niego dociera, dostaje ogień ze *Spandaua*, na szczęście nieszkodliwy. Nasi Rk-emiści zeskakują z carrierów i nie kryjąc się, walą w krzaki w kierunku wycofujących się Niemców. Łapiemy dwu, jednego z nich wyciągamy z wody. W wodzie czuł się bezpieczniej. Odpowiada śmiało na pytania. Jest pionierem. Twierdzi, że było ich 15-tu. Wycofali się nadbrzeżnymi krzakami. Zabieram od niego mapę i cenne szkice pól minowych.

Prosi, żeby mu pozwolić wrócić nad rzekę po bluzę, w której ma zdjęcia rodziny. Dodaję mu dla opieki Karola, któremu polecam jednocześnie zbadać położenie min. Jednocześnie wysyłam st. sap. M. Kazika po obsługę wykrywacza. Proszę dowódcę o wysłanie ubezpieczenia na drugą stronę rzeki i ostrzegam, by nie zbliżano się do mostu, bo a nuż . . . diabli wiedzą . . . i most poleci w powietrze. To są znane kawały saperskie.

Po 20-tu minutach mniej więcej wraca Karolek, a równocześnie nadchodzi pchor. K. z obsługą wykrywacza. Rozpromieniony Karolek tymczasem melduje mi, że sam rozbroił już wszystkie ładunki przy moście. Wstawiam mu lekkie "o.p.r.", bo miał przecież stwierdzić tylko ich położenie, ale co z takim zrobić! . . .

Wykrywacz pracuje w tym czasie bez przerwy, wkrótce droga jest wolna. Nadjeżdża dowódca kompanii saperów. Spacerujemy po moście, i nieomal głaszczemy z radości jego bariery. Pod mostem rwie z szumem rzeka, płynąca trzema korytami /po 20 mtr. szerokości/. Brzegi rzeki wysokie, przepaściste i porosłe gęsto drzewami i krzewami. Oceniam, że przeprawa przez bród zajęłaby co najmniej dzień czasu.

Mijamy most, za nami chrzęszczą carriery. Spotykamy po chwili nasz patrol, prowadzący dwu jeńców. Prężą się przed nami na baczność. Sanitariusze!

Jedziemy dalej. Drogi rozchodzą się. Ja z drużyną skręcam w prawo, bo ten kierunek jest najważniejszy. Mamy wiadomości, że następny mostek jest zaminowany. Stajemy przy nim i z miejsca zabieramy się do roboty. Ogradzamy komory minowe kamieniami. Carriery stoją z tyłu, gotowe do marszu.

—"Jadą!" — rozlega się krzyk.

Odskakujemy na bok. "Rk-emy w przód". Oprócz Rk-emistów nadbiega również artylerzysta z niemieckim ck-emem.

Mój Karol /zawsze ten Karol!/ wrzasnął: — "Rkm. do mnie!" i zapadł z nim w zboże. Okazało się później, że okrążył Niemców, strzelając z boku. Jego też sprawką byli trzej ranni jeńcy, których po walce wzięliśmy. Byliśmy teraz gotowi.

Nadjeżdża wóz. Poznajemy "Fiata". Niemcy musieli widać zauważyć jednego z nas. No, naturalnie — śmieje się porucznik — to Kazik M. stanął na mostku i wlepią przez lornetkę oczy w Niemiaszków. Stanęli. Sypnęły strzały. Niemcy zaczęli wyskakiwać z samochodu. Kilku z nich chciało zbiec w krzaki, ale Karol /wiecznie ten Karol!/ jedną seryjką przestrzegł ich przed tak nierozsądnym zamiarem. Jeden z Niemców był ciężko ranny, jęczał. Dwaj inni trzęśli się ze strachu. Reszta jeńców /razem było ich dziesięciu/ patrzyła na nas z lękiem i zdziwieniem. Kazio skoczył do samochodu szukać broni. Wiedział, że jego porucznik choruje na "Visa".

Karol — nasz groźny Karol — opatrzył jak mógł najlepiej rannych Niemców. Klął później, że z tego powodu nie ma pistoletu, ale pocieszyłem go, że okazji będzie więcej. Okazało się, że Niemcy wieźli materiał wybuchowy do wysadzenia mostu.

Wóz z jeńcami wysłaliśmy do tyłu. Na wszelki wypadek mój kierowca przymocował do "Fiata" chorągiew polską, by go nasi przypadkiem nie ostrzelali.

Tak się skończyła saperska potyczka. Stanęliśmy przed następną rzeką i badamy teraz, którędy prowadzi najlepsza droga do nieprzyjaciela" — kończy swe opowiadanie porucznik.

Dziękuję mu za szczegóły, które pozwoliły nam choć częściowo zaznajomić się z trudem saperskim w nowoczesnej wojnie.

Saperzy są wszędzie. Torują drogę, osłaniają odwrót, niszczą i budują drogi, stawiają mosty. Bez saperów nie ma wojny.

Karpaccy saperzy, uczciwie i ciężko pracujący, poruszający się wśród min, najmilsi chłopcy pod słońcem — torują drogę batalionom, brygadom, oddziałom Dywizji.

* * *

Długo ściskam dłoń porucznika, gdy się żegnamy.

—Straszni ludzie, ci saperzy — szepczę w duchu — no n.p. on, ten mój miły, uroczy porucznik. Urodziwy, delikatny /te ręce, jak u pianisty/ . . . i kładzie miny . . . "talerzowe", "drewniane", "p-panc." i "przeciw-ludzkie" . . . Straszny człowiek, ale niech kładzie i niech mu szczęście towarzyszy.

Niech toruje nam wszystkim drogę wśród min!

BOGDAN ZENON ZNOWSKI

W wyzwolonej Anconie

Czołgi, wozy, kariery jadą bezustannie naprzód. Polnymi drogami, na północ od La Villa, traktami, wiodącymi od Osimo, głównym, "paradnym" szlakiem nr. 16, prowadzącym wprost do Ancony. Niemcy cofają się na całym froncie!

Mijamy długie kolumny, wiozące uzbrojonych żołnierzy i wpadamy w sam środek posuwającej się naprzód kompanii saperskiej Karpackiej Dywizji. Niemcy pozostawili po sobie "pamiątki" w postaci pól minowych i zerwanych na drogach mostów. Saperzy rozminowują drogi, budują przeprawy na rzekach, tworzą tymczasowe objazdy. Min jest wiele, choć nie tyle, co w poprzednich etapach walk. Jeden z wozów saperskich wyleciał przed godziną. Przejechał po siedmiu minach — nie eksplodowały. Wpadł na ósmej — ostatniej. Trzech rannych. Dwa kilometry przed Anconą w czasie rozminowywania drogi nr. 16 zginął por. Adolf Bocheński — jeden z najdzielniejszych żołnierzy Drugiego Korpusu.

Nic nie potrafi zahamować postępu naszych wojsk. Ani śmierć najbliższych, ani opór niemiecki. Tym razem opór jest bardzo słaby. O godzinie 2.45 w południe dnia 18 lipca, dokładnie w dwa miesiące po wspaniałym zwycięstwie na Monte Cassino, oddziały polskie meldują światu o nowym wielkim zwycięstwie zdobyciu Ancony.

Kiedy około 4-ej znajdujemy się w mieście, kończy się oczyszczanie ulic z resztek sił nieprzyjacielskich. Włochów prawie nie widać. Mieszkańcy uciekli w obawie przed bitwą. Ci, co zostali, witają nas bukietami kwiatów i winem. Wojsko przewala się przez miasto i pędzi dalej w pościgu za Niemcami. Zostajemy w wymarłym mieście, po którym tu i ówdzie krążą jedynie patrole.

Miasto nie jest zbytnio uszkodzone. Widoczne czasem ruiny, to ślady bombardowań alianckich. Natomiast poważnie zniszczony jest port. Niemcy wysadzili dworce, wielką fabrykę tytoniu, biura portowe. Dynamitem wysadzono okręty i statki tak, aby zablokowały wejście do portu i uniemożliwiły korzystanie z niego w ciągu pewnego okresu czasu. Mieszkańcy wiedzą, gdzie leżą miny. Pokazują je żołnierzom. Najwięcej jest ich w porcie. Pewien odcinek wybrzeża pokryty jest całą siecią min, powiązanych ze sobą drutem. Wybuch jednej z nich, pociągnie za sobą eksplozje następnych. Przewidziane to było na wypadek desantu Aliantów w Anconie. Alianci sprawili jednak niespodziankę — przyszli od strony lądu . . .

Wszystkie sklepy pozamykane, na szynach leżą zielone, zniszczone wagony tramwajowe. Nie ma wody, elektryczności, transportu. Niemcy zniszczyli wodociągi, elektrownię wysadzili jeszcze dwa miesiące temu, samochody zarekwirowali i wywieźli. Tak jak w innych miastach przez siebie okupowanych, pokradli, co się dało. Od maszyny do szycia, do wieszaków na ubrania. Tak jak w innych miastach, stosowali metodę terroru. Godzina policyjna od 5-ej po południu, kara śmierci za najlżejsze wykroczenie.

Jeszcze w ciągu dnia wczorajszego rozstrzelali dwóch Włochów, za odmowę minowania portu. Specjalnie ostro zaczęli się odnosić do ludności w dniach ostatnich. Przyszło generalne uderzenie wojsk polskich. Czołgi dokonały na lewym skrzydle silnej wyrwy, prąc ku morzu i zmuszając Niemców do opuszczenia miasta. Opuścili je Niemcy w nocy z 17 na 18, ale jeszcze znaczne ich siły znajdują się w Anconie rano dnia 18-go. Próbując się przedrzeć przez coraz bardziej zaciskający się wokół portu pierścień wojsk polskich, wpadają, jedną za drugą, grupy żołnierzy niemieckich do niewoli.

Jeszcze o piątej, gdy znajdujemy się na wzgórzu dominującym nad portem z poza gruzów jakiegoś domu ukazuje się niemiecki *Obergrefreiter*, pchając przed sobą duży, dwukołowy wózek, na którym siedzi jego ranny kolega. Wyskakujemy z kierowcą st. strz. W. z wozu i podchodzimy do Niemców — "Gdzie jest wasz szpital?" — pyta *Obergefreiter*. — "Mój kolega jest ranny". Jednocześnie, mówiąc to, kilkakrotnie rzuca wzrokiem poza siebie.

Bezwiednie idę za jego wzrokiem i nagle widzę o 100 metrów przed nami, od ruin jakiegoś domu odrywają się dwa cienie w zielonych mundurach. Biegniemy za nimi, bez broni, bez niczego, i krzyczymy: — *"Hände hoch!"* Zatrzymują się i podnoszą ręce do góry. W tejże samej chwili z pobliskiego domu wypada Włoch z fuzją myśliwską w ręku i, kierując ją w stronę Niemców, krzyczy: — *"Sono patriota!"* . . .

Kierowca wyrywa mu strzelbę z ręki i każe iść Niemcom przed nami. Jeden z nich jest porucznikiem. Wsiadamy do wozu, kierowca siada przy kierownicy, oddawszy mi uprzednio strzelbę, którą kieruję na Niemców przez przednie okienko wozu. Prowadzimy pochód, poszukując patrolu żandarmerii. Przed nami idzie porucznik, jego towarzysz i "riksza", wioząca rannego Niemca. Na rogu ulicy jest napis po niemiecku: "Do lekarza rejonowego", ale rejonowego lekarza już nie ma od wczoraj, a tuż pod ogłoszeniem leży podziurawiona kulami, zdarta z sąsiednich drzwi, tablica: *"V. St. P. Ancona, Stadtgruppe"*.

W pół godziny później przekazujemy jeńców dowódcy plutonu żandarmerii ppor. Jerzemu K-skiemu. Oddając strzelbę Włochowi, otwieram magazynek. Jak przypuszczałem, jest pusty. Chcemy już wracać, ale zatrzymuje nas jeszcze ppor. K-ski. — "Chwileczkę" — mówi — "należy się małe pokwitowanie". I na kartce papieru pisze: "Kwituję odbiór zdanych w Anconie przez korespondenta wojennego 4-ch jeńców niemieckich:

"Oberleutnant Stoff Reghen,
Obergefreiter Heingum Willy,
Obergefreiter Kut Peter,
Gefreiter Spanghager Hans".

* * *

Kiedy około godziny dziesiątej na drodze, wiodącej z Ancony do M.p. Kwatery Prasowej, w małym, czerwonym domku, piję zsiadłe mleko, chwaląc sobie temperaturę i smak napoju, kolor włosów Krysi i pracowitość kantyniarek, wpada mi nagle niespodzianie na myśl pewne skojarzenie: Przysłanej z kraju, z Warszawy, fotografii polskiego "rikszy", zmuszonego w ten upakarzający sposób pracować na swoje utrzymanie — i niemieckiego "rikszy", wiozącego po przegranej bitwie rannego kolegę . . . Czy to przypadkowo narzucające się porównanie nie jest symbolem zmiany ról naszych? Symbolem naszego zwycięstwa i niemieckiej klęski?

To za upokorzenie braci naszych w Warszawie płaci upokorzeniem niemiecki "riksza" w Anconie! . . .

LUDWIK BRZESKI

Jego Królewska Mość

(Korespondencja własna "Polski Walczącej" z Holandii)



Polscy pancerniacy pod wiatrąkiem w Termuijden

Jadę *jeepem* z napisem *"Press"*, jadę zupełnie tak samo, jak w owym czasie, kiedy mnie widział autor rubryki "Mimochodem" z "Dziennika Polskiego". Jadę wytwornie *jeepem*, a on brudny, nieogolony i zakurzony jedną ręką kręci Gestetner w polowej redakcji "Dziennika Żołnierza", a drugą pisze ołówkiem na kolanie, przeklinając równocześnie radio londyńskie, które nadaje wesołą melodię "Wojenko, Wojenko". On jest smutny, ja jestem smutny, nasz kanadyjski kierowca smutny.

Nasz kanadyjski kierowca skręca właśnie do miejsca postoju "Dziennika Żołnierza", poczuł bowiem smakowitą woń smażonej jajecznicy. W zastępstwie redaktora naczelnego, który w danym momencie śpi na grobie nieznanego żołnierza niemieckiego, wita nas na progu redakcyjnych samochodów kierowca, starszy strzelec Gołębiowski.

STARSZY STRZELEC GOŁĘBIOWSKI

—Co słychać panie Gołębiowski? — pytam wysiadając z *jeepa* z napisem *"Press"*.

—Szkoda — mówi pan Gołębiowski — że pan redaktor tak późno . . .

—A bo co się stało?

—Miałem pieczone kurczątko . . . co mam sobie żałować . . . !

—Pewnie — potwierdzam.

—A z mięsem teraz coraz gorzej — ciągnie dalej pan Gołębiowski, który przed wojną był rzeźnikiem w Północnej Francji.

—Cóż — mówię — wojna . . .

W tym momencie pan Gołębiowski unosi się gniewem.

—Wszystko wina czołgistów, tylko czołgistów! Co to się mięsa marnuje przez nich na polach! Strzelają do krów! Ja rozumiem, że i krowa czasem pod kule podpadnie, ale poco marnować mięso! Żeby jeden z drugim wyskoczył na pięć minut z czołgu i podciął zabitej krowie gardło, żeby odtoczyć krew, to taką krowę spokojnie można jeść i za dwa dni! Ale im to do głowy nie przyjdzie. Pewnie, że w ten sposób mięsa nie może być . . .

Skończywszy rozmowę o mięsie przechodzimy na tematy wojenne. Pan Gołębiowski zaniepokojony jest wyraźnie szybkimi postępami Dywizji.

—Czego my się pchamy tak szybko? — zaczyna. — Czy to my mało Niemców widzieliśmy? Na poprzednim miejscu postoju, żebym tylko został jeszcze dwa dni, byłoby picie dla całego plutonu. Już się dogadałem z żoną jednego farmera . . . Eh, co tu gadać! Zobaczy pan, jak będziemy iść tak szybko, to się jeszcze kiedyś Niemcy przełamią . . .

—Nie wygląda na to — pocieszam pana Gołębiowskiego.

—Co, uciekają?

—Cofają się.

—Czuję — martwi się dalej Gołębiowski — że generałowi znowu zechciało się "poketu", tak jak pod Falaise. Poco tych Niemców zaraz zamykać w "pokecie"? Jak uciekają, to niech uciekają . . .

ARTYLERIA I KOŚCIOŁY

Siadam do *jeepa* z napisem *"Press"* i jadę z kolei do artylerzystów. Artylerzyści są w dobrych humorach. Układają właśnie rozkład jazdy na dzień następny. Na mapie sztabowej czerwone kółeczka oznaczają miejsca, na które jutro o świcie położony będzie ogień.

—Straszni ludzie — mówi do mnie kapelan artylerii. — Ledwo uratowałem od nich Bredę. Chcieli strzelać na miasto . . .

—Kiedy w mieście byli Niemcy — oponuje jeden z oficerów.

—Ale Pan Bóg was za to wynagrodził — dostaliście w Bredzie dobre kwatery . . .

—Kiedy my, proszę księdza, znowu naraziliśmy się wczoraj Panu Bogu — oświadcza kapitan od planowania ognia. — Musieliśmy rozbić trzy kościoły . . .

—Dlaczego to zrobiliście — pyta ksiądz.

—Były tam niemieckie posterunki obserwacyjne. Trudna rada . . .

—Hm . . . — kapelan drapie się w głowę — może to były kościoły protestanckie . . . ?

SUCHA BREDA

W przeciwieństwie do mokrych terenów, na których Polacy musieli walczyć w Holandii, Breda okazała się suchym miastem. W żadnym barze, za żadne pieniądze, żaden żołnierz nie znalazł kieliszka wódki. Jedynie na przyjęciach w prywatnych domach ten i ów zapruszył sobie podobno głowę. Nie wszyscy jednak mieli akurat szczęście nawiązania "prywatnych kontaktów".

Siadaliśmy właśnie do *jeepa* z napisem *"Press"*, rezygnując z dalszych poszukiwań jakiegokolwiek trunku dla rozgrzania przemarzniętych kości, kiedy zatrzymał nas pewien oficer sztabowy.

—Prasa — powiedział — nie uciekać. Musicie pójść na *"private party"*. Jest tyle zaproszeń, że nie mamy kogo wysłać . . .

—Czy będzie coś do picia? — zapytaliśmy konkretnie.

—*Plenty*! Cała piwnica. Wspaniały dom!

—Czy jakieś niewiasty będą?

—Co za pytanie! Dwanaście młodych dziewcząt!

—No to adres. Jedziemy!

Pojechaliśmy. Błądząc po różnych ulicach przez pół godziny znaleźliśmy wreszcie małą willę na przedmieściu. Wyglądała niezgorzej.

Drzwi otworzyła nam staruszka w okularach. W salonie powitały nas dwie dodatkowe staruszki o przeciętnej granicy wieku 60 lat. W końcu wjechał do salonu na fotelu na kółkach bardzo miły, siwy pan.

Rozmawialiśmy z nimi bardzo długo i serdecznie aż do momentu, w którym każdy z nas stracił nadzieję przybycia dwunastu pięknych dziewcząt. Wówczas podano herbatę.

—Piwnicy też nie ma — zauważył ktoś pesymistycznie po polsku.

Towarzyska rozmowa przeciągnęła się do godziny 10-ej wieczór.

Od tego dnia mamy specjalne porachunki z pewnym oficerem sztabowym i obmyślamy straszliwą zemstę. Niech tylko Dywizja zajmie jakieś nowe, większe miasto . . .

NAUKA PŁYWANIA

Nie trzeba owijać w bawełnę, jak było ciężko nad kanałem Mark. Przeprawa przez ten kanał była wielkim sukcesem Dywizji, sukces ten jednak kosztował nas sporo wysiłku i sporo strat.

Trzeba chyba tylko polskiej, przekornej i buńczucznej natury, aby dziś opowiadać o tym z uśmiechem, jak gdyby nigdy nic. Ot, było, przeszło. Takie myśli przychodzą mi do głowy podczas rozmowy z jednym ze strzelców.

—Nauczyłem się pływać — mówi. — Przepłynąłem ten cholerny kanał . . .

—A czy pan przedtem naprawdę nie pływał?

—Niech Pan Bóg zachowa. Ja z Nowego Targu . . .

—Widziałem — ciągnie dalej — że już nie da rady. Granaty poszły, magazynek ze *stena* wystrzelałem — co było robić? To ja do wody bez wielkiego namysłu. I co pan powie? Przepłynąłem kanał w mundurze i w butach jak gdyby nigdy nic. Jest system!

—Jaki system?

—Nowy system nauki pływania. Takich facetów nieumiejących pływać trzeba tylko postawić nad wodą i z dwu stron zahaczyć o nich z karabinów maszynowych. Można także kilka pocisków artyleryjskich i coś z moździerzy. Wszyscy popłyną! Patrz pan na mnie — pływam!

Patrzę. I nie jestem pewien . . . czy chce mi się śmiać.

ELEMENTARZ

Nie mogę również powiedzieć, aby smutno było w pancernym pułku, który chodzi dziś w glorii sławy przebicia się przez mur niemieckiego fortu Moerdijk. Był to wyczyn nielada, najwspanialszy chyba wyczyn czołgistów w całej obecnej wojnie.

—W zasadzie, co tu gadać — mówią ułani — kiedy przyszedł rozkaz myśleliśmy . . . że cały pułk idzie na stracenie.

No i poszli. Poszli jak straceńcy z furią, na największej szybkości, pod piekielnym ogniem. Po ryzykancku, po desperacku — runął pierwszy czołg w wąski wyłom w murze, wybity ogniem siedemnasto-funtówek. Przeszedł. Za nim poszy inne. Wszystko to było tak szybkie i tak niespodziewane dla Niemców, że stracili głowy. Zanim niemieccy obrońcy pierwszej linii fortecznej zorientowali się co się stało — musieli podnosić ręce do góry. Polskie czołgi wdarły się do fortu.

Jeszcze większa była radość ułanów kiedy stwierdzili, że cała ta szarża obeszła się prawie bez strat. Szybkość i śmiałość zadecydowały o sukcesie.

Cóż dziwnego, że śmieją się im dzisiaj oczy, chociaż siąpi deszcz i jest błoto? W kasynie pułku, które musi zastąpić dziś dom, rodzinę, teatr i wszystkie przyjemności wielkomiejskiego życia — jest gwarno i "rodzinnie".

—Nie lubię tylko — mówi dowódca pułku — jak mi zaczynają gadać o polityce. Ale ja mam na nich sposób . . . elementarz.

—Elementarz?

—Taki sobie elementarzyk. Jak tylko zaczynają się kłócić — wyciągam go i proszę, żeby sobie poglądali. Od razu jest zgoda.

—Można zobaczyć ten elementarz?

—E, wzdraga się pułkownik — pan to zaraz napisze, o potem ludzie pomyślą Bóg wie co . . .

Ostatecznie jednak zdradzono przede mną tajemnice "elementarza". Okazało się, że jest to po prostu album aktów, wydany przez słynnego londyńskiego Roya, odkrywcę popularnej Phyllis Dixie.

—To lepiej czasem — tłumaczy pułkownik — żeby sobie chłopcy przypomnieli jak wygląda kobieta, zamiast dyskutować na temat konferencji moskiewskiej. Jak zaczynają oglądać te obrazki, święty spokój z polityką! A w zasadzie — kończy pułkownik — co tam naprawdę słychać na świecie? Pan na pewno więcej wie od nas . . .

—Panie pułkowniku — odpowiadam — czy mógłbym zajrzeć do elementarza . . . ?

ABRAMEK

Przybył do dywizji specjalnie wysłany przez Agencję Keystona. Pocieszny grubasek, w mundurze amerykańskiego korespondenta wojennego. Kłopoty zaczęły się nazajutrz.

—Gdzie jest front? — zapytał.

Pokazaliśmy szczegółowo na mapie.

—Niemcy bardzo strzelają?

—Jak czasami . . .

—Często czy czasami?

—Różnie . . .

—Aha . . .

Pojechał naszym *jeepem*. Nieszczęście chciało, że gdzieś za zakrętem drogi w rejonie frontu rozpoczął się nagle codzienny koncert polskiej artylerii. Abramek, bo tak go przezwaliśmy /przypominał nam Abramka/ — wysiadł z *jeepa*.

—Za dużo hałasu — powiedział. — Dalej nie jadę!

—Ale to nasza artyleria — usiłowaliśmy tłumaczyć.

—A czy nasza nie hałasuje? — zapytał. — Ja nie lubię hałasu . . .

Pozostał w tyle i zaczął robić zdjęcia. Ustawiał żołnierzy, pozował, znalazł kozę, fotografował żołnierzy z kozą, bez kozy, przy kozie — jednym słowem robił co mógł. Nie byliśmy zadowoleni z takiego obrotu sprawy, chodziło nam bowiem, aby Abramek zrobił jak najwięcej zdjęć frontowych. Nazajutrz zmieniliśmy plan.

—Gdzie mnie wieziecie — zaniepokoił się w pewnym momencie Abramek — czy to nie za daleko?

—Wszystko w porządku — powiedzieliśmy. — Odwrót. Niemcy uciekają.

—Jak odwrót — oświadczył — to w porządku.

Całe szczęście, że artyleria nie strzelała. Dzięki temu Abramek, nie zdając sobie sprawy — znalazł się na linii. Linia akurat była spokojna. Zabrał się do pracy jak szatan. Fotografował żołnierzy na stanowiskach, robił zbliżenia, oddalenia — wszystko szło jak z płatka. W pewnym momencie jednak zaczął wyciągać jednego strzelca z dołu i zażądał, aby ustawił inaczej karabin maszynowy. Strzelec sprzeciwił się. Abramek był oburzony.

—Nie mogę — oświadczył — robić zdjęcia pod słońce. Dlaczego pan nie chce przesunąć tego karabinu?

—Bo jestem na stanowisku — powiedział żołnierz.

—Na jakim stanowisku? Gdzie są Niemcy?

—Pod tym laskiem . . .

Wszystko się wysypało. Abramek zbladł i spojrzał na nas z wyrzutem. Wtedy właśnie odezwała się niemiecka artyleria, a wkrótce po niej i nasza.

—Będziecie mnie mieli na sumieniu — powiedział. I nagle obudził się w nim lew. Zaczął fotografować na prawo i lewo!

Jeszcze kilka razy potem udało się nam wyprowadzić w pole Abramka i podciągnąć do frontu. Ponieważ połapał się w naszych intencjach — zaczął uprawiać w stosunku do nas terror. Nie pozwalał po prostu mówić po polsku.

—Zmawiacie się — krzyczał — nie pozwalam!

Tak czy inaczej — Abramek zrobił kilka seryj dobrych zdjęć. A gdy odjeżdżał — ślubował nam dozgonną przyjaźń.

Odznaczyliśmy go niemieckim żelaznym krzyżem pierwszej klasy.

JEGO KRÓLEWSKA MOŚĆ

Na zakończenie tych moich migawek wojennych i niewojennych — winien jestem czytelnikowi wyjaśnienie tytułu.

Myliłby się ten kto by sądził, że Dywizję odwiedzał ktoś koronowany. Jego Królewską Mością jest zupełnie ktoś inny. Na stanowiskach bojowych i na postojach, w czasie walk i w czasie odpoczynku, po błocie i po deszczu, w zimne dni i jeszcze zimniejsze noce — krąży wśród żołnierzy Jego Królewska Mość HUMOR.

Cenny to jest gość i przez wszystkich pożądany. Dzięki niemu bowiem stać jeszcze żołnierza polskiego na uśmiech nawet wtedy, kiedy jest bardzo źle i bardzo ciężko.

Nawet . . . jesienią.

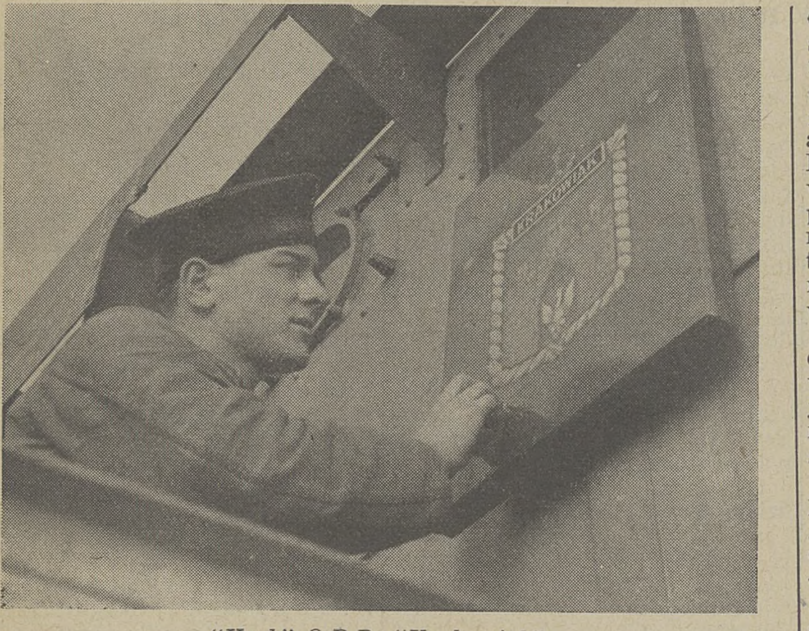
RYSZARD KIERSNOWSKI

P.S. Czytelników, którzy będą uważali, że w tych ciężkich czasach piszę za wesoło — proszę o porozumienie się z czytelnikami, którzy uważają, że zawsze piszę za smutno. R.K.

Polskie czołgi na stanowisku obserwacyjnym pod Hooge Zwaluwe



Spotkanie z Francją na ‘Krakowiaku’



“Herb” O.R.P. “Krakowiak”



Dodatek do “herbu”: zestrzelony Junkers 88

Na “Krakowiaku” spotkałem starszego marynarza, który mi się przyglądał przez dłuższy czas, jakby mnie znał od dawna. Ale ja sam pewien byłem, że go nie znam. Aż kiedyś okazało się, że nie mam racji. Znałem i jego i jego rodziców: tylko, że to już dawno temu było. Daleko w czasie, tak daleko, że nawet wspomnienia zaczynają się zacierać. Było to jeszcze w tej epoce, która już nie istnieje i nigdy nie wróci.

W roku 1932 byłem studentem uniwersytetu w Grenoble, a równocześnie delegatem centrali Związku Towarzystw im. Piłsudskiego we Francji na okręg Francji Środkowej. Był to t.zw. okręg I z siedzibą w St. Etienne.

Ale samo St. Etienne było daleko, dojazd nie był specjalnie wygodny, więc stworzyliśmy z Witoldem Wyszyńskim podokręg w Grenoble. Wprawdzie w tym mieście nie wielu było Polaków, ale jednakże byli. Wielkim ośrodkiem polskim było wówczas Brignoud, oddalone o jakieś około 18 klm. od Grenoble w kierunku Chambéry. I tam — w Brignoud — powstało pierwsze w naszym podokręgu towarzystwo kulturalno-oświatowe. Nawet do dzisiaj pamiętam nazwiska. Prezesem był p. Kuglin, a do zarządu wchodził p. Stanisław Lorenc, który był duszą i towarzystwa i całego ośrodka polskiego w Brignoud.

W Grenoble w owym czasie było wielu studentów Polaków i również z Witoldem Wyszyńskim zrobiliśmy w Kole studentów-Polaków coś w rodzaju “centrali prelegentów”, którzy jeździli po wszystkich ośrodkach polskich z pogadankami i odczytami.

Okazało się, że w górnej Sabaudii — w Usines — pracuje aż kilkuset Polaków. Więc dotarłem tam kiedyś i założyliśmy w Usines oddział Związku. Trzecim naszym ośrodkiem było Le Rondeau, leżące tuż koło Grenoble na szosie do Pont de Claix. Znaliśmy w czasach studenckich tę dziurę, bo była tam rosyjska knajpa, gdzie można było dostać białą wódkę i kwaszone ogórki. Zaglądaliśmy więc tam wówczas, kiedy Wyszyński postanawiał rozpocząć “cnotliwe życie” i robić oszczędności, bo go szarpnęły jakieś wyczyny miejscowe lub alpejskie. Pisać o nich nie będę, bo dzisiaj Wyszyński jest — że się tak wyrażę — na świeczniku w Strattonie, a że się w międzyczasie ożenił i mieszka w Londynie, sprawy jego bujnej kawalerskiej fantazji w Grenoble stają się w pewnym sensie “ tajemnicą wojskową”.

Grenoble tętniło wówczas niezwykle silnym rytmem polskiego życia studenckiego. Było nas wielu i trzeba przyznać, że atmosfera małego miasta wpływała dobrze na wzajemne zbliżenie. Z drugiej jednak strony trzeba przyznać również, że Grenoble lat 1930 — 1932 było jednym z nielicznych “piłsudczykowskich” ośrodków polskiej młodzieży akademickiej. To wywoływało od czasu do czasu próby t.zw. “narodowców” do obsadzenia zarządu Koła Studentów Polaków. Ktoś przyjeżdżał z Warszawy, zabierał się do wielkiej akcji politycznej i . . . ulegał czarowi Grenoble i niezwykle serdecznych stosunków pomiędzy nami wszystkimi, powoli zaczynał się przekonywać, że Koło jest organizacją całkiem apolityczną, a wszystko co zeń wychodzi na zewnątrz czy to z zamierzeniem oddziaływania na młodzież francuską, czy też z zamiarem wpływu na stałą emigrację polską we Francji — jest słuszne i całkiem apartyjne. I wszystko zostawało po staremu.

Starszy marynarz na “Krakowiaku” przypomniał mi te czasy najukochańsze, czasy studenckiej beztroski. I odżyły obrazy przeszłości, odżyły wszystkie, nieraz najdrobniejsze sprawy, kawały, anegdoty i dowcipy, wśród których — trzeba to przyznać — prowadziliśmy poważną i pożyteczną pracę społeczną, uzyskując przyłączenie naszego Koła Studentów do *Association Générale des Etudiants de Grenoble.* Potem wszystkie polskie koła studenckie były afiliowane przez tę francuską “Bratnią Pomoc”. Ale to nie był mój dział. Ja zawsze zajmowałem się pracą społeczną wśród polskiej emigracji, uważając, że jest to najwdzięczniejszy do działania teren. Jeździłem, jako organizator i prelegent daleko poza okręg grenoblański. Jeździłem do Dijon i Lens, do Lille i Monceau les Mines. A wreszcie trafiłem kilkakroć do Metzu i ośrodków polskich we Francji Wschodniej.

Trzebaż, że tę drogą memu sercu przeszłość przypomniał mi starszy marynarz z “Krakowiaka”. On mnie pamiętał właśnie w korporacyjnej czapeczce podczas pierwszego uroczystego zjazdu podokręgu alpejskiego Związku Towarzystw Kulturalno-Oświatowych. Miał wówczas lat 10. Dlatego go nie pamiętałem. Ale rodziców jego pamiętam doskonale. Nawet pamiętam, że w przededniu zjazdu, który udał się wspaniale, nocowałem w ich domu.

I ilekroć przyjeżdżałem do Francji później, jako dziennikarz, zawsze szukałem moich starych znajomych — działaczy emigracyjnych z tego okresu czasu, kiedym sam pracował we Francji.

Pierwotne ściśle grenoblańskie projekty rozrosły się, przeradzając się w pracę całkiem poważną, obejmującą zasięgiem całą Francję. Dlatego też od jesieni 1932-go roku mieszkałem w Paryżu i pracowałem w dalszym ciągu w Związku Towarzystw Kulturalno-Oświatowych. Cała różnica polegała na tym, że teraz pracowałem w centrali.

I dzisiaj — chociaż Grenoble zawsze będzie mi droższe, niż cała reszta Francji — jeżeli wracam myślą do minionego okresu, nie mogę widzieć jakiegoś jednego, ściśle określonego miejsca. Widzę i Grenoble i Lens i internat polski w Lille, gdzie za moich czasów mieszkało tylko 27 chłopców polskich, ucząc się w gimnazjach francuskich. Tak się złożyło, że jednego z nich poznałem w wojsku, a drugiego również spotkałem na “Krakowiaku”. Widzę i fermy polskie pod Tuluzą i wydaje mi się, że to jeszcze tak niedawno temu próbowałem u p. Andrzejewskiego w pobliżu Tuluzy wino, ledwie zebrane. I tak niedawno temu słyszałem /byłem wówczas wysłannikiem “Kuriera Porannego” do Francji/, jak jedna z Polek pokazywała mnie swoim dwu synom, mającym w sumie nie więcej niż 18 lat, zwracając ich uwagę:

—Ten pan przyjechał wprost z Warszawy.

I chłopacy patrzyli na mnie, jak na gościa nie z tego świata, bo Warszawa dla nich była szczytem marzeń. Bo w słowie: Warszawa mieściła się dla nich cała treść polskości.

Nie wiem, co robią ci chłopcy, ale na pewno nie siedzą dzisiaj na swojej pięknej fermie. Na pewno są w wojsku, albo w lotnictwie, albo w marynarce. Bo to przecie, co się zobaczy marynarzy — niemal co trzeci jest z Francji. Poszli ochotniczo w styczniu 1940 roku, jak tylko ogłoszono, że marynarka polska potrzebuje ochotników. I dzisiaj mam zaszczyt codziennie podziwiać ich spokojną i sumienną pracę.

Co tu dużo gadać. Kiedy po wrześniu próbowaliśmy nieśmiało tworzyć na ziemi francuskiej nową armię, trzonem jej byli właśnie tacy chłopcy, którzy kiedyś w słowie: “Warszawa” widzieli szczyt marzeń i najpiękniejszą, bezinteresowną miłość. Polonia z Francji była trzonem nowotworzącej się armii polskiej. Była też pierwszym zbiornikiem ludzkim, z którego czerpała nasza marynarka wojenna. Dzisiaj zaś — w marynarce — Polacy z Francji są elementem podstawowym.

Z komunikatów, wybiegających na cały świat wiemy wszyscy o walce podziemnej, toczonej we Francji. I wiemy, że tak się złożyło, iż ośrodkiem najpoważniejszym tej walki przez długi czas była górna Sabaudia, a miastem, w którym “ *Maquis* ” stanęli najpierw do walki było właśnie stare, kochane Grenoble. Raz jeszcze stało się ono ośrodkiem polskim, skupiając największy odsetek nowej emigracji, która nie zdołała ujść przed Niemcami w roku 1940. I wiemy, że w podziemnym ruchu francuskim był niejeden Polak.

I do wspomnień osobistych, wspomnień bardzo różowych, miesza się dziś we mnie jeszcze jedna barwa, która oznacza szacunek. Tak mi jest dobrze na duszy, kiedy dowiaduję się o uwalnianiu od Niemców przeróżnych miejscowości, gdzie mowa polska nie była niczym obcym, lecz stanowiła część składową, część nierozerwalnie zrośniętą z pewnymi okolicami. Lens jest wolne, Lyon jest wolny, Tuluza jest wolna, Paryż — wolny. No i Grenoble i całe południe Francji.

I widzę już dzisiaj, jak serdecznie witają w wyzwalanych szczęśliwych miastach i miasteczkach francuskich wkraczające oddziały polskie. Widzę już, jak w Pas de Calais będzie, gdy wejdą tam Polacy na ziemię, która dwa ma oblicza, dwa mózgi i serca ma dwa, bijące sharmonizowanym rytmem miłości do Francji i Polski.

Zdaje się, że słyszę pierwsze słowa, pierwsze pytania, rzucane polskim żołnierzom przez braci ich, którzy znieśli długie cztery lata okupacji. Słowa te — to na pewno podziw i szczerość. Słowa te — to na pewno najżywsza troska o wspólną naszą sprawę, drogą Polonii francuskiej tak samo, jak i nam. Bo ta troska o wspólną sprawę była zawsze znamieniem Polonii we Francji. Przecież nie dlaczego innego zbierała się ona w organizacjach polskich, nie dlaczego innego wysyłała swoich synów do armii i marynarki, gdzie byli przez cały czas ciężkiej wojny najlepszymi żołnierzami. I nie dlaczego innego działała w *Maquis* w okresie dla Francji najcięższym.

Teraz nadchodzi okres nowy, który oznaczać będzie dla Francji powrót do wielkości i niepodległości. Okres ten więc będzie szczęśliwy również i dla Polaków, nierozerwalnie związanych z piękną Francją. Dla Polski jednak nadchodzący, ostatni okres wojny, zaczyna chmurzyć się. I dlatego wśród powitań polskich żołnierzy na ziemi francuskiej, obok najwyższej radości stanie powaga troski o przyszłość, niepozwalająca na rozejście się do domów i nakazująca ciągłe jeszcze powiększanie naszych szeregów.

Myśli kotłują się jedna przez drugą, mieszając się ze wspomnieniami czasów dawnych i szczęśliwych, bo beztroskich — lecz niepowrotnych.

I warto znaleźć tę jedną jedyna plamę wśród różowych wspomnień przeszłości. Bo tak się już dziwnie składa, że Polonia francuska stanęła pierwsza w szeregach armii i marynarki polskiej wówczas, gdy trzeba było dopilnować zakusów na naszą wspólną sprawę.

Cóż, starszy marynarzu Olesiu K. Widocznie taki już jest nasz los, że mamy zawsze czuwać, aby nas nie zaskoczyło niebezpieczeństwo. Los nasz — polski, na którego straży tak pięknie stała cała Polonia we Francji.

JANUSZ LASKOWSKI

DO ŻONY W KRAJU

Powiem Ci miła najciszej, powiem błękitnie,
że w mym więzieniu twe życie, jak gałąź kwitnie.

Zakratowano mi okna podłością sumień,
wciska się gałąź przez kraty — cieszy, jak umie.

Powlekli ściany więzienia farbą rozpaczy,
a gałąź pachnie i szumi, że jest inaczej.

Kiedy po nocy bezsennej ból nowy dnieje,
gałąź oplata o pryczę kwiaty-nadzieje.

Kiedy noc żwirem bolesnym oczy popieli,
kwiaty, jak gwiazdy zapalasz na ścianach celi.

Już wiem, że chwila nadejdzie, wcześniej, czy później,
że świat przestanie się krwawić, palić i bluźnić,

takiej mnie prawdy nauczył kwiatów twych poszept,
że zmartwychwstałą zobaczę duszę-Golgotę,

że warto w kraty więzienne kołatać głową,
że to jest wieczne, co idzie Drogą Krzyżową.

Że taka przyjdzie godzina, może już bliska,
gdy szczęście kwilić nam zacznie, w sercach-kołyskach.

Londyn, dnia 18.VIII.1944 r.

JAN ROSTWOROWSKI

DO PRZYJACIÓŁ

Wielu w ziemi głęboko leży
Szczupłych, młodych, zabitych żołnierzy.

A te armie; armie maszerują!
Dniem i nocą ziemię, niebo prują.
Prują ciemność, mgłę, morza i lądy.
Wyskakują z niebios jak ogniste prądy.

Bardzo wielu lotników nie żyje.
Ciemną nocą wiatr im w uszach wyje.

Ponad światem, nad życiem i nad Europą
Leci, dudni grzmot ognia i łopot.
Mechaniczne konie — elektryczna burza —
Nad światem świeci jak olbrzymia róża.

Poco śpicie, chłopcy, tam pod Oceanem?
Ciężką wodą przykryci jakby wiekiem szklanym?

Chciałem po prostu na wódkę pójść z wami do baru.
Zapomnieć wszystkie smutki wśród waszego gwaru.
Jeszcze raz wśród przyjaciół uśmiechnąć się mile.
Chciałem z wami jeszcze pozostać przez chwilę.

A te armie; armie maszerują!
Dokąd i poco? Górami się snują.
W powietrzu lotnicy. Na ziemi piechota,
Czołgi, pociągi, działa i tęsknota.

W żółtych, jesiennych płaszczach liści
Śpią gdzieś we Włoszech artylerzyści.

A marynarze śpią w Morzu Arktycznym
Mroźni jak suchy blask elektryczny.

Cóż ja was będę liczył, gdzie śpicie, kochani?
Kiedy mi słowa więzną we krtani.
Nie poto matka nas narodziła . . .
Nie poto kochać nas nauczyła . . .

Abym . . . Tak . . . Abym nie mógł uwierzyć,
Że tylu młodych padło żołnierzy.

Nie potom zamienił karabin na pióro!
Ja chciałem was widzieć w zwycięstwie i w chwale.

Wy ziemią i morzem i wyżej i górą
Jak dumne wiersze, bijące zuchwale.

Lotnicy, strzelcy i marynarze,
Pancerne wojska, patrzę wam w twarze,
Patrzę wam w serca, patrzę wam w oczy,
W oczy, przez które mrok się przetoczył.

Musimy iść dalej po ziemi, gdzie leży
Tylu szczupłych, młodych, zabitych żołnierzy.

Jeśli mnie za rok gdzieś trzasną w Lizbonie,
Albo w Madrycie, być może w Poznaniu,
Dołączę do was. Uścisnę wam dłonie.
Będę z wami — na zawsze. Wolny. I nie na wygnaniu!

MARIAN CZUCHNOWSKI

Sprawy polskie w książkach angielskich

HITLER I MUSSOLINI O "NIEPODLEGŁEJ" POLSCE

Sumner Welles, wybitny dyplomata amerykański, w latach 1937 — 1943 podsekretarz stanu /wiceminister spraw zagranicznych/ ogłosił książkę *The Time for Decision** /"Czas postanowień"/, w której rozważa wszystkie aktualne zagadnienia międzynarodowe.

Wychodzi on z założenia, że trzy zasadnicze błędy polityki Sprzymierzonych spowodowały wybuch drugiej wojny: braki organizacji Ligi Narodów, niekonsekwentne postępowanie z Niemcami, nieuwzględnienie Rosji w rachubach na przyszłość. Tak n.p. przy odbudowie Polski i tworzeniu nowych państw w Europie wschodniej i północno-wschodniej nie liczono się z faktem, że "największy i najpotężniejszy naród w Europie" powróci kiedyś do głosu w sprawach międzynarodowych i że zażąda, "by jego prawa były szanowane". Traktat wersalski stworzył w Europie szereg nowych państw, a to musiało doprowadzić do "nacjonalistycznego fermentu".

Nadto nie uwzględniano twardych nakazów rzeczywistości. Tak n.p. Polacy w niedostatecznym stopniu zdawali sobie sprawę, że musi upłynąć wiele czasu, zanim trzy części Polski, które przez sto pięćdziesiąt lat znajdowały się pod wpływem różnych systemów rządzenia i różnych kultur, zleją się w jedno i że zanim to nastąpi, trzeba będzie wielu ofiar ze strony wszystkich Polaków. Nowe państwo polskie obciążone zostało od samego początku zagadnieniem mniejszości narodowych oraz poważnymi zagadnieniami gospodarczymi. Rosja przedstawiała wielką niewiadomą, a korytarz musiał stać się źródłem ustawicznych tarć z Niemcami. Podkreślając, że Polsce należał się dostęp do morza, Sumner Welles wyznaje, że nie rozumie, jakim sposobem twórcy traktatu mogli przypuszczać, że korytarz stanowić będzie trwałe rozwiązanie tego zagadnienia.

Rozwój wypadków w okresie powersalskim przedstawia Sumner Welles w telegraficznych skrótach. Potępia zagarnięcie przez rząd polski, "z poduszczenia płk. Becka" Cieszyna w chwili "męczeństwa Czechosłowacji". Podnosi, że Polska nie ulękła się pogróżek niemieckich. Jak się zdaje, rząd polski przypuszczał, że Polska zdoła się utrzymać do czasu udzielenia jej pomocy przez armię francuską oraz przez marynarkę i lotnictwo brytyjskie. "Pewien wysoki urzędnik polski z największym przekonaniem udowadniał mi w owym czasie, że kawaleria polska odegra niezwykłą rolę w odpieraniu najezdniczych kolumn niemieckich". A przecież zarówno Polska, jak cały świat zdawał sobie sprawę z uposażenia technicznego Niemiec i z kruszącej siły ich lotnictwa.

Najbardziej interesujący i pod wielu względami rewelacyjny rozdział poświęca autor swojej podróży do Europy na początku r. 1940. Odwiedziny swoje rozpoczął Sumner Welles od Włoch. Usłyszał tu od Ciana, że wbrew umowie włosko-niemieckiej, która przewidywała wzajemną konsultację przed jakąkolwiek wojskową akcją niemiecką, Hitler rozpoczął wojnę z Polską bez zasięgnięcia opinii Włoch. "Zapobieglibyśmy, gdybyśmy mogli, najazdowi na Polskę, ale nie mieliśmy nigdy najmniejszej okazji do wywarcia wpływu na Hitlera" . . . Ciano wskazywał dalej na głęboką życzliwość Włoch dla "prawdziwych /*real*/" Polaków. Polska musi być odbudowana. Najlepszym dowodem życzeń Włoch jest fakt, że rząd włoski w dalszym ciągu uznaje ambasadę polską w Rzymie i że on, Ciano, czyni wszystko co można, by złagodzić brutalność postępowania Niemców w okupowanej Polsce. Ciano dodał jeszcze, że w październiku 1939 r. Hitler prawdopodobnie zgodziłby się na pokój na następujących warunkach; uznanie zaboru Austrii, ewentualnie poprzedzone plebiscytem; niepodległa Słowacja i niepodległe Czecho-Morawy pod protektoratem Niemiec; odbudowanie "całkowicie niepodległej" Polski, przy czym Niemcy zatrzymałyby Gdańsk, korytarz i zachodnią Polskę, zamieszkałą przez mniejszości niemieckie, a Rosja — wschodnią Polskę /Polacy z tych terytoriów zostaliby przesiedleni do nowego państwa polskiego, które uzyskałoby dostęp do morza/; zwrot kolonii.

Podobne stanowisko w sprawach polskich zajął Mussolini, oświadczając z całą "energią /*vigour*/": — "Naród polski ma prawo do niespętanej niepodległości i suwerenności, i udzielę mu poparcia w tych jego dążeniach. Nie znaczy to jednak, aby Polska miała znowu stać się niedorzecznym zespołem różnych narodowości. Sprawa mniejszości w ciągu ostatnich lat dwudziestu zatruwała Europę. Nie można ponownie popełnić tego zasadniczego błędu. Prawdziwi Niemcy z Gdańska, z korytarza, z Poznańskiego /Posen/ muszą pozostać w Rzeszy, ale prawdziwi Polacy muszą mieć wolną Polskę z dostępem do morza". Spytałem: — "Co się ma stać z prawdziwymi Polakami, którzy znajdują się obecnie pod panowaniem rosyjskim?" Mussolini odpowiedział, że mogą oni emigrować z Polski będącej pod władzą Rosjan, podobnie jak Niemcy emigrowali z Górnej Adygi z powrotem do Niemiec. — "Czy można znaleźć inne wyjście, o ile nie jesteśmy zdecydowani walczyć z Rosją?" Kiedy Sumner Welles przed odjazdem swoim do Ameryki raz jeszcze powrócił do Rzymu, Mussolini dorzucił, że w przyszłym traktacie pokojowym trzeba liczyć się z dokonanymi przez Hitlera przesiedleniami ludności polskiej i że jeżeli n.p. przesiedlono milion Polaków z "Polski niemieckiej" do Warszawy i innych czysto polskich części kraju, trzeba uznać to za fakt dokonany.

Z Rzymu Sumner Welles udał się do Berlina. Tu Ribbentrop wyłożył mu swój punkt widzenia w sprawie polskiej. Hitler zawsze utrzymywał, że odłączenie od Rzeszy niemieckiego Gdańska i oddzielenie Prus Wschodnich nie da się na stałe utrzymać. Ale równocześnie był zdania, że zagadnienia sporne dadzą się rozwiązać w drodze rokowań między obu państwami, i ten duch ożywiał polsko-niemiecki pakt o nieagresji. W r. 1938 *Auswärtiges Amt* rozpoczął z płk. Beckiem rokowania w sprawie przyłączenia Gdańska do Rzeszy i eksterytorialnej autostrady przez korytarz. "Rozmowy te były na dobrej drodze /*prospered*/; w zasadzie osiągnięto całkowite porozumienie /*complete agreement*/ podczas pobytu płk. Becka w Berlinie i w Berchtesgaden na początku r. 1939. Ribbentrop utrzymywał, że gdyby nie obca interwencja, doszłoby do pełnej ugody /*entire arrangement*/ ku zadowoleniu Polski, a Niemcy wytrwałyby na zawsze przy tym rozwiązaniu". Tu Sumner Welles wskazuje na sprzeczność w oświadczeniu Ribbentropa, który poprzednio cytował opinię Hitlera, że korytarz na stałe nie da się utrzymać.

"Cóż się potem stało? — zapytuje Ribbentrop. — Rząd niemiecki znajduje się w posiadaniu archiwów warszawskich i ma niezbite dowody, że rząd brytyjski podżegał /*incited*/ rząd polski do niezgodzenia się na proponowane porozumienie i do spowodowania wojny z Niemcami /*to determine upon war against Germany*/". Podobne stanowisko zajęli dyplomaci kilku innych państw /aluzja do Stanów Zjednoczonych/. Gwarancje wojskowe Wielkiej Brytanii narzucone zostały Polsce wbrew życzeniom i radom płk. Becka, jedynie w tym celu, aby powstrzymać Polskę od ustępstw dla Niemiec. W rezultacie Polacy rozpoczęli "okrutne" prześladowanie Niemców w Polsce: te prześladowania w połączeniu z mobilizacją armii polskiej zmusiły Niemcy do przedsięwzięcia działań obronnych.

W Europie środkowej Niemcy chcą zajmować takie samo stanowisko, jakie na półkuli zachodniej zajmują Stany Zjednoczone na zasadzie doktryny Monroego. Jako wielkie mocarstwo Niemcy mają prawo do obrony swych żywotnych interesów i do oficjalnego uznania przez inne mocarstwa sfery wpływów Niemiec w Europie środkowej. W sprawach Europy wschodniej Niemcy będą rozmawiały jedynie z Rosją sowiecką, z nikim innym.

W tym samym tonie utrzymane były wynurzenia Hitlera, który przypomniał, iż zapowiedział ambasadorowi brytyjskiemu, że Niemcy nie mogą pozwolić na ustawiczne wtrącanie się mocarstw zachodnioeuropejskich do spraw Europy wschodniej i że nie mogą ścierpieć stanu rzeczy, który prowadzi do coraz większego zagrożenia żywotnych interesów Niemiec. Niemcy nie pragną panowania nad nieniemieckimi narodami i nie chcą niszczyć czy ograniczać niepodległości swych sąsiadów, ale "nie mają zamiaru dopuścić, aby jakiekolwiek państwo na wschodniej granicy Niemiec stanowiło znowu wojskowe lub strategiczne zagrożenie bezpieczeństwa Niemiec". Poza tym Niemcy muszą domagać się uznania ich przewagi gospodarczej w Europie wschodniej i południowo-wschodniej.

Interesującą rewelację przyniosła rozmowa Sumner Wellesa z Göringiem. Powiedział on, że w czasie pobytu Ribbentropa w Paryżu w grudniu 1938 r. w celu podpisania paktu o nieagresji, Bonnet w imieniu rządu francuskiego oświadczył, że Francja, wyciągając konsekwencje z układu monachijskiego, rezygnuje ze swoich interesów w Europie wschodniej i że powstrzyma się od dalszego wpływania na politykę Polski: w szczególności Francja nie będzie sprzeciwiała się powrotowi Gdańska do Niemiec i autostradzie przez korytarz. Jeśli chodzi o przyszłość Polski, Göring uważa, że "Polacy, którzy naprawdę są Polakami, powinni uzyskać wolną i niepodległą Polskę z dostępem do morza".

W czasie wizyty Sumner Wellesa w Paryżu, Bonnet zaprzeczył twierdzeniom Ribbentropa. Wprost przeciwnie, podpisując pakt o nieagresji, rząd francuski wyraźnie podkreślił, że nie może on w niczym naruszyć sojuszów Francji z Polską i z Rosją sowiecką. Ribbentrop oświadczył, że jeśli chodzi o Polskę, deklaracja rządu francuskiego nie godzi w interesy Niemiec, które mają pakt o nieagresji z Polską i są przekonane, że najbliższe lata przyniosą wzmocnienie z nią przyjaznych stosunków.

Omawiając zagadnienie polsko-rosyjskie, Sumner Welles wypowiada pogląd, że traktat ryski, narzucony Sowietom po zwycięstwie Polaków pod Warszawą, pozbawił Rosję rozległych terytoriów. Terytoria te coprawda znajdowały się dawniej pod panowaniem polskim, ale ludność polska przeważnie nie przekracza tam 10%. Wprawdzie Rosja w Rydze skapitulowała, ale linia Curzona jest linią sprawiedliwszą, niż linia ustalona w Rydze, i bardziej odpowiada zasadzie samostanowienia narodów.

"Każdy bezstronny obserwator musi podziwiać wspaniałą wiarę i patriotyzm narodu polskiego". Oparł się on wszelkim próbom wynarodowienia, oparł się najreakcyjniejszym siłom, ale nie może wymagać, aby świat uważał za święte granice Polski z r. 1772 /tak! — autor dwa razy popełnia ten sam błąd, myląc granice Polski sprzed pierwszego rozbioru z granicami sprzed drugiego rozbioru, 1792/. Na wschodzie Polska powinna otrzymać tylko te ziemie, na których ludność polska stanowi większość. Będzie to w zgodzie z dobrze zrozumianym interesem Polski, która pozbędzie się wrogo nastrojonych mniejszości narodowych.

Sowiety są uprawnione do stworzenia w Europie wschodniej systemu regionalnego, złożonego z chętnych do współpracy i przyjaznych państw niezależnych, sąsiadujących z Rosją. Gdyby jednak Rosja ów system regionalny uznała za narzędzie do stworzenia szeregu protektoratów, jako kroku wstępnego do wcielenia ich do Sowietów, dowiodłaby, że wkracza na drogę ekspansji politycznej. Sumner Welles domaga się plebiscytów na terytoriach spornych, przy czym oczywiście, muszą to być plebiscyty prawdziwe, a nie takie, jakie Rosja przeprowadziła w r. 1939, które trudno uważać za coś innego, niż za zamaskowanie okupacji wojskowej.

Polska musi z następujących powodów otrzymać Prusy Wschodnie: 1/ korytarz był rozwiązaniem niedostatecznym, utrzymywał stan napięcia między Polską a Niemcami, w razie wojny oddawał Polskę na pastwę Niemiec; 2/ przyszła Polska powinna uzyskać rozleglejszy i łatwiejszy niż dotąd dostęp do morza; 3/ Polska utraci znaczną część swego terytorium na wschodzie na rzecz Rosji i dlatego musi otrzymać odszkodowanie na zachodzie, aby mogła stać się rzeczywiście "silną i niepodległą Polską". Jednocześnie część dawnego polskiego korytarza powinna przypaść Niemcom, z pozostawieniem Gdyni i Gdańska przy Polsce.

Przejście Prus Wschodnich pod panowanie Polski stawia sprawę przesiedlenia ludności. Według Sumner Wellesa, nie sprzeciwia się to zasadzie samostanowienia narodów, głoszonej przez Kartę Atlantycką. Karta Atlantycka sprzeciwia się jedynie zmuszaniu tego czy innego narodu do pozostawania pod panowaniem, którego sobie nie życzy. Tak n.p. Niemiec nie może być zmuszony do pozostawania obywatelem polskim, podobnie Polak nie może być zmuszony do pozostania obywatelem rosyjskim. Przyłączenie Prus Wschodnich do Polski nie spowoduje masowego przerzucenia ludności tego kraju — jak bydła — spod jednego panowania pod inne. Przeciwnie, każdy człowiek, który zechce zachować dawną narodowość, będzie mógł wyemigrować i uzyska całkowite odszkodowanie za straty materialne, jakie poniesie z tego powodu. Każde przesiedlenie ludności połączone jest z cierpieniem ludzkim, ale w tym wypadku spowoduje ono ustalenie się stosunków w Europie wschodniej i zapobiegnie przyszłej wojnie.

Niezależnie od oderwania Prus Wschodnich, Sumner Welles głosi konieczność podziału Niemiec na trzy odrębne państwa: Niemcy północno-zachodnie, Niemcy północno-wschodnie i Niemcy południowe.

* *Sumner Welles. The Time for Decision. Londyn, Hamish Hamilton, 1944; str. 331 i 1nl. i tabl. 1.*

SPOTKANIE Z PADEREWSKIM

Stephen Bonsal był w r. 1919 członkiem delegacji amerykańskiej na konferencję pokojową w Paryżu — przekładał dla prezydenta Wilsona i płk. House'a przemówienia francuskich mężów stanu na język angielski. Dziennik Bonsala dopiero obecnie ukazał się w druku*. Znajdujemy tu kilka wzmianek o wystąpieniach Dmowskiego na konferencji pokojowej, poza tym autor spotkał Paderewskiego w marcu 1919 r. w czasie swej podróży z gen. Smutsem do Wiednia.

"W Buchs Paderewski wszedł do pociągu. Był bardzo wylany, ale okrywał tajemnicą, skąd i dokąd jedzie. Nagle prawdziwie dziecinny rumieniec oblał mu twarz, i z charakterystycznym gestem odgarniania włosów, który później tak nas bawił na posiedzeniach w Paryżu, powiedział: — "Czasami budzę się w nocy i nie mogę sobie znaleźć miejsca. Dlaczego? Powiem panu. Wspominam ów listopadowy poranek kiedy przyjechałem do Paryża i wpadłem do sypialni pułkownika o godz. 7.15. Jakże mu się naprzykrzałem! Jest to jedna z tych rzeczy, które mógłbym zrobić tylko dla Polski. Czy myśli pan, że kiedykolwiek mi przebaczy?" Był bardzo zadowolony kiedy zapewniłem go, że wszystkie jego wizyty są mile widziane i że zawsze są na czasie bez względu na to, czy przychodzi o północy czy wczesnym rankiem. Zapewniłem go, że nie może się zdarzyć, aby przyszedł w nieodpowiedniej porze, i istotnie słowa moje odpowiadały rzeczywistości. Kiedyś słyszałem jak ktoś ze straży przybocznej tłumaczył: "Paddy jest ulubieńcem pułkownika. Myślimy, że lubi Paddy'ego bardziej nawet, niż Tygrysa".

SCRUTATOR

* *Stephen Bonsal. Unfinished Business. Introduction by Wilson Harris. Londyn. Michael Joseph, 1944; str. 283 i 1nl.*

Skrzynka pocztowa

JAK ZGINĄŁ STEFAN OKRZEJA

Szanowny Panie Redaktorze,

Artykuł Józefa Żmigrodzkiego p.t. "Sztandarowe nazwiska Warszawy" w numerze 44 "Polski Walczącej" wymaga sprostowania w rozdziale dotyczącym Stefana Okrzeji.

Istotnie Stefan Okrzeja brał udział w manifestacji na Placu Grzybowskim w dniu 13 listopada 1904 jako chorąży grupy bojowej P.P.S. Nie padł jednak od kuli carskiej w czasie manifestacji. Jako członek Organizacji Bojowej P.P.S. Okrzeja brał udział w zamachu na oberpolicmajstra Nelkena w dniu 26 marca 1905 r. Integralną częścią akcji zamachowej było rzucenie bomby na XII cyrkuł policji na Pradze, aby tym sposobem zwabić na miejsce zamachu znienawidzonego Nelkena. Zadanie rzucenia bomby na XII cyrkuł powierzone było Okrzeji. Jakoż Okrzeja rzucił bombę pod nogi komisarza Szarapa w cyrkule, sam jednak został zraniony odłamkami bomby. Wycofując się z cyrkułu, stoczył walkę z policją carską, jednego policjanta zabił, sam jednak raniony ponownie, został ujęty i skatowany. Ciężko ranny, z obandażowaną głową i nogami, oświadczył sędziemu śledczemu: "Kary żadnej się nie lękam, ani katorga, ani śmierć mnie nie przeraża".

Dnia 23 czerwca 1905 stanął przed sądem wojennym. Na rozprawie oświadczył: "W walce tej wiele ofiar zginie, ale ludzkość wyjdzie z niej zwycięsko. Ostatnim moim pragnieniem jest, ażeby ludzie byli dobrzy i szczęśliwi". Został skazany na śmierć. Gdy obrońca zaproponował mu wniesienie prośby o ułaskawienie, Okrzeja odmówił stanowczo i powiedział: "Ja moją śmiercią zrobię więcej, niż mógłbym zrobić życiem". Zginął na szubienicy, na stokach Cytadeli warszawskiej, dnia 21 lipca 1905 r. Wieszany był dwukrotnie, gdyż za pierwszym razem sznur się obsunął. Przed zgonem zawołał: "Niech żyje socjalizm, precz z caratem".

Takie były dzieje młodocianego bohatera polskiej klasy robotniczej, którego imieniem nazwana została 28 dywizja w Walczącej Warszawie.

Łączę wyrazy poważania

Lidia Ciołkoszowa

W SPRAWIE POBYTU GEN. DUCHA W NANCY W R. 1940

Szanowny Panie Redaktorze!

W artykule p. Wojciecha Śliwy p.t. "Po raz drugi w służbie dla Polski" /"Polska Walcząca" nr. 40 z 7.10.44/ znalazło się zdanie, z którego można by wnioskować, że już 21 czerwca 1940 generałowie Duch i N. znajdowali się w mieszkaniu autora artykułu, a więc w Nancy na rue St. Didier nr. 1.

Tymczasem generałowie ukrywali się w miejscu rozwiązania dywizji w St. Dié przez kilka dni, skąd wyjechali w dniu 25 lipca do wzmiankowanego w artykule klasztoru.

Do Nancy gen. Duch dotarł w dniu 2 lipca, skąd tego samego dnia wyjechał w stronę Paryża.

Łączę wyrazy szacunku

Ks. Kazimierz Stolarek

PRAWO WŁASNOŚCI OWOCÓW PADAJĄCYCH NA CUDZY GRUNT

Redakcja "Polski Walczącej" /Dla autora rubryki "Rzeczy ciekawe, zabawne i pożyteczne".

Odnośnie tejże rubryki w numerze 44 "Polski Walczącej" z b.r. chcę wtrącić moją uwagę za co bardzo przepraszam, ale gdy rubryka ta zgodnie z tytułem ma być także pożyteczna, to uważałem za właściwe nieco ją "sprostować".

Nie wiem, może autor "*d*" rozmyślnie dał nieścisłą, a raczej błędną odpowiedź na ten punkt, no ale to wtedy będzie tylko zabawne a obawiam się, że nie będzie na pewno pożyteczne.

Autor twierdzi, że owoce padające na grunt cudzy należą do właściciela drzewa, nie do właściciela gruntu.

§ 911 Kodeksu Cywilnego na Ziemiach Zachodniej Rzplitej brzmi: "Owoce spadające z drzewa lub z krzewu na grunt sąsiedni uważa się za owoce tego gruntu. Przepisu tego nie stosuje się, jeżeli grunt sąsiedni służy do użytku publicznego".

Z zagadki "Kto wie" nie wynika, by ogród ten, na który owoce spadają, był ogrodem publicznego użytku.

Chętnie dowiedziałbym się, gdzie takie prawo obowiązuje, jak autor podał — wydaje mi się — że nie obowiązywało w każdym razie w Polsce i chcąc czytelnika kształcić, należało by raczej przepisy podawać tak jak obowiązywały i tak jak niewątpliwie będą obowiązywały.

Z poważaniem

Adam Kowal

Dziękujemy p. Kowalowi za słuszne uwagi. Błąd polegał na tym, że zapomnieliśmy dodać, iż chodzi o Anglię. Naszą pomyłkę uważamy, mimo wszystko za pożyteczną /bodaj dla Redakcji/ ponieważ nauczyła nas, że trzeba bardziej skrupulatnie wybierać "rzeczy pożyteczne" i bo dowiedzieliśmy się o życzliwym zainteresowaniu Czytelników naszą rubryką.

DLA POLAKÓW W ROSJI

Oficerowie, podoficerowie i szeregowcy na terenie RAF Maintenance Command — na pomoc Polakom w Rosji złożyli w miesiącu wrześniu i październiku 1944 r. kwotę £2.5.0.

NA POLISH CHILDREN RESCUE FUND

Redakcja "Polski Walczącej",

W załączeniu przesyłam Postal Order na sumę sh.10 d.8 wręczoną mi przez plut. Mach. jako wygraną w karty. Proszę uprzejmie o przekazanie powyższych pieniędzy do Funduszu Ratowania Dzieci Polskich.

Z poważaniem

Świetliczarka J.N.

DO WSZYSTKICH RANNYCH ŻOŁNIERZY POLSKICH PRZEBYWAJĄCYCH W SZPITALACH NA TERENIE W. BRYTANII

Celem stworzenia możliwości dla rychłego doręczania poczty i wszelkich przesyłek prywatnych rannym żołnierzom, którzy przebywają obecnie w różnych szpitalach brytyjskich i polskich na terenie Wielkiej Brytanii, każdy zainteresowany żołnierz winien niezwłocznie przesłać obecny swój adres do Biura Opieki nad Żołnierzem — referat pocztowy M.O.N. Adresować należy do: Postal Officer Polish H.Q. Vandon House, Vandon Street, London, S.W.1. podając czytelnie: stopień, imię i nazwisko, nazwę i miejsce szpitala oraz ewentualny Nr. poczty polowej.

Należy również podawać każdorazowo zmianę miejsca pobytu.

Na pomoc Warszawie: £1,281

Przesyłam w załączeniu przekaz pocztowy na £10 wystawiony na Polski Czerwony Krzyż, z przeznaczeniem na pomoc ludności Warszawy.

K.G.

* * *

Szanowny Panie Redaktorze,

Grono Podoficerskie Instruktorów Polskiej Szkoły dla Małoletnich w Heliopolis przekazuje kwotę £5 /słownie: pięć funtów/ na pomoc mieszkańcom Warszawy.

Powyższa kwota została przekazana za pośrednictwem banku Barclay'a dnia 4.11.44. pod adresem WPanów.

Z szacunkiem pozostają

Instruktorzy

* * *

Dziękuję za umieszczenie nekrologu poległych oficerów ... p. uł. oraz proszę przyjąć czek na £2 /dwa funty/ jako ofiarę na pomoc Warszawie.

Z poważaniem

Malinowski

Szanowny Panie Redaktorze,

Przesyłam Postal Orders na kwotę £12 sh.17 d.5, zebraną przez Korpus Oficerski C.W.Art. i przez żołnierzy Dyonu Zapasowego, proszę o przekazanie tej kwoty na pomoc dla Ludności m. Warszawy.

Komendant Centrum Wyszk. Art.
Pułkownik P.L.

* * *

Przesyłam kwotę £2 sh.15 /słownie: dwa funty i piętnaście szylingów/ złożoną przez szeregowych kompanii sztabowej . . . Brygady Grenadierów na rzecz pomocy ludności Warszawy.

Dowódca kompanii
K., kpt.

* * *

Przesyłam na pomoc dla Warszawy kwotę £10 zebraną w świetlicy żołnierza dn. 12.XI.1944.

Kwatermistrz brygady
major K.

Do Redakcji "Polski Walczącej",

Przesyłam £1 na Fundusz Pomocy Warszawy.

Por. J.W.

* * *

Redakcja "Polski Walczącej",

W załączeniu przesyłam £10 oraz znalezione 10 szylingów na fundusz dzieciom Warszawy.

Żuk. kpt.

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £54.2.5 /słownie: pięćdziesiąt cztery funty dwa szylingi i pięć pensów/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £1,281.4.5½ /słownie: tysiąc dwieście osiemdziesiąt jeden funtów, cztery szylingi, pięć i pół pensa/.

Zbiórka książek

Dla Polaków na Wschodzie przesyłam to co posiadam.

Zawadzki Roman

Załączone: "La France Libre", "St. Andrew Bobola", "The British Way and Purpose" i 4 zeszyty "Harcerstwo i zagadnienia skautowe".

* * *

Bezimiennie: St. Szczepanowski: "Walka narodu polskiego o byt".

* * *

Bezimiennie: Kegan Paul: "End Monopoly Exploitation", E. H. Carr: "The Future of a Nation", Balbus: "Reconstruction and Peace", Ritchie Calder: "Start Planning Britain Now", Frank Pick: "Britain Must Rebuild".

* * *

P. S. Sawicz przesłał: Ks. Jan Mard: "Irma".

* * *

Redakcja "Polski Walczącej",

W załączeniu przesyłam dwa podręczniki do nauki języka angielskiego oraz jedną książkę: "Z pierwszej linii frontu".

* * *

Redakcja "Polski Walczącej",

Dla Polaków na Bliskim Wschodzie, to co mam chwilowo.

Z szacunkiem

Zosiński R.

Załączone: 17 zeszytów "Poradnika dla pracowników świetlic żołnierskich" i "Skaut".

NA "PACZKI OD SERCA"

Przesyłam "bezimiennie" £1 /jeden funt/ na paczkę dla jeńców polskich w Niemczech.

FUNDUSZ WDÓW I SIEROT PO POLEGŁYCH ŻOŁNIERZACH 14-EJ WLKP. DYW. PIECH.

J.W.P. Redaktor Tygodnika "Polska Walcząca",

W załączeniu przesyłam P.O. na £1 z przeznaczeniem na "Fundusz wdów i sierot po poległych żołnierzach 14-tej Wlkp. Dyw. Piechoty".

Łączę wyrazy poważania

O.K.

WALNE ZEBRANIE ZWIĄZKU DZIENNIKARZY R.P.

Zarząd Związku Dziennikarzy R.P. zawiadamia wszystkich Kolegów Dziennikarzy, iż Walne Zebranie Związku odbędzie się w *Londynie, w dniach 7 i 8 grudnia b.r., w lokalu Ogniska Polskiego*, 45, *Belgrave Square, London, S.W.*1.

Koledzy, którzy nie dokonali dotychczas weryfikacji swojego członkostwa, proszeni są o nadsyłanie swych danych na adres Sekretariatu Związku.

Koledzy, którzy wezmą udział w Zjeździe, proszeni są o zawiadomienie o tym Sekretariatu Związku, w terminie możliwie najbliższym, na adres Polish Union of Journalists, c/o Polish Press Agency "Światpol", 45, Belgrave Square, London, S.W.1.

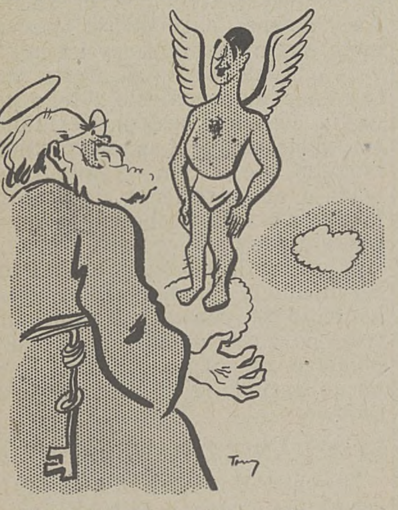
Minister Obrony Narodowej zawiadomił Związek Dziennikarzy, iż zgadza się na udział w zjeździe Kolegów, pełniących służbę wojskową.

Szczegóły Zjazdu zostaną podane członkom Związku w najbliższym numerze Komunikatu Organizacyjnego.

WERINAJSEK

. . . ŚMIEJMY SIĘ — BO KTO WIE CZY WOJNA POTRWA TRZY TYGODNIE . . .

NOWY ANIOŁEK . . . W NIEBIE



Św. Piotr: — Czego duszyczka pragnie?
—Lebensraumu.

POWIEDZONKO ŻOŁNIERSKIE

—Czy pan wie, jak nasi żołnierze z I Dywizji, tak zwane "Czerwone koszule" — nazywają swych niemieckich przeciwników?

—Jak, jak?

—Żółte kalesony! . . .

NASI W PŁD. ANGLII

—Wie pan, to ciekawe. Na "V-1" zupełnie nie reagowałem, a to "V-2" denerwuje . . .

—To samo jest i ze mną. Zupełnie nie reagowałem na "V-1" w Szkocji . . .

NIECO ZMIENIONE . . .

Do szpitala polowego zawitała jedna z naszych "społecznic". Po przebiegnięciu kilkunastu sal, zatrzymała się przed jednym z rannych.

—Jak się macie żołnierzyku! Czego wam potrzeba?

—Zimno jest, dziewcząt brak dla rozgrzewki i palić się chce . . .

GDYBY . . .

—Szkoda, że "Polska Walcząca" tak późno wprowadza "kącik językowy" . . .

—No, właśnie. Gdyby ten dział powstał pięć lat temu — może by emigracja mówiła wspólnym językiem" . . .

Z WYNALAZKÓW NIEMIECKICH



Najnowszy okręt podwodny — "Tirpitz" . . .

SEANS W SZTABIE NIEMIECKIM



—Panie generale, zgłasza się Führer! Czy odebrać rozkazy?

—Powiedz mu, że w tej chwili mamy ważną naradę pokojową z Hindenburgiem, Ludendorfem i Wilhelmem.

FRASZKA HISTORIOZOFICZNA

Beck-ground, choć z gwarancjami, nie wstrzymał okupacji.
Walczymy z dyktatorstwem, a przecież pod dyktąndem.
Jest Under-ground i Wojsko. Lecz walki Emigracji
Mogą sprawić, że to się skończy — Anders-groundem.

Jacek Lis

MIAŁ POWÓD . . .

—Pan nie wie dlaczego Hitler nie przemawiał z piwiarni monachijskiej?

—Ponieważ bał się, że musi wypić to piwo, które nawarzył . . .

JASNE!

—Ja uważam, że dobrze się stało z wyborem Prezydenta Roosevelta.

—Sądzi pan, że dla nas będzie lepiej?

—No oczywiście. Roosevelt zna dokładnie miejsce, gdzie podpisywał "Kartę Atlantycką".

PODRAŻNIONA AMBICJA "LONDYŃCZYKA"

Do kierowcy samochodowego pana Faji, zwraca się kolega po fachu "z Rubensa":

—Też w tej prasie nie mają o czym pisać! Tylko o tym, że generałowi Andersowi zwędzili samochód w Rzymie.

—To sensacja!

—A jak naszemu pułkownikowi "zapylili" maszynę, to było choć słówko w prasie?

RZECZY CIEKAWE, ZABAWNE I POŻYTECZNE

Harold Laski, profesor Uniwersytetu Londyńskiego, znany polityk i pisarz lewicowy, cudem uszedł śmierci podczas nalotu, gdy dom, w którym przebywał, został trafiony w nocy przez bombę. Spadł poprzez pięć pięter i wylądował na jakimś łóżku. Był przywalony gruzami i nie mógł się ruszać. Po godzinie dogrzebał się do niego jakiś starszy robociarz z "*Rescue Party*", który z narażeniem życia wydostał go w końcu z opresji.

"Ten człowiek uratował mi życie", opowiadał potem profesor Laski, "więc zastanawiałem się, jak go mam za to wynagrodzić. Miałem w kieszeni tylko banknoty dziesięciofuntowe, a ponieważ opowiadał mi, że ma w domu troje nieletnich dzieci, ofiarowałem mu parędziesiąt funtów, aby złożył je dzieciom na książeczkę oszczędnościową. Ale robotnik odmówił. "Bardzo dziękuję, ale widzi pan, ja jestem tak samo dumny z mego *jobu* /zajęcia/, jak pan ze swego".

Lewicowi pisarze miewali jednak podczas blitzu i mniej patetyczne przygody. "*Leader Magazine*", którego dwa ostatnie numery wyszły pod nową redakcją, opowiada, że Kingsley Martin, redaktor "*New Statesman and Nation*", był ofiarą bomby, która trafiła w jego dom w 1940 roku w chwili gdy siedział w ustępie i czytał powieść Jane Austen p.t. "*Mansfield Park*".

/d/

Wielka fabryka duńska pracująca dla Niemców została zbombardowana przez lotników brytyjskich. Fabryka płonęła przez kilka dni. Niemieckie radio doniosło jednak, że "brytyjskie samoloty zaatakowały duńskie terytorium nie wyrządzając szkody. Jedyną ofiarą Anglików była jakaś niewinna krowa". Nazajutrz, pewna gazeta duńska zamieściła ten komunikat dodając: "Krowa wciąż jeszcze się pali!"

/d/

W BERLINIE



—Co wy tu robicie z wykrywaczem min?

—Szukam Führera — zapadł się gdzieś pod ziemię . . .

Tekst i rysunki: **TONY**

POLSKA Y.M.C.A. w Wielkiej Brytanii poszukuje kandydatów i kandydatek do pracy w świetlicach.

Podania wraz z krótkim życiorysem i referencjami prosimy kierować p.a.: Polish Y.M.C.A., Nash House, 39A, Maddox Str., London, W.1.
Tel. MAYfair 7540.

OŚRODEK NAUCZANIA KORESPONDENCYJNEGO W GLASGOWIE

/placówka podległa Ministerstwu W.R. i O.P./

poszukuje nauczycieli /panów lub panie/, którzy podjąć by się mogli nauczania drogą korespondencyjną poszczególnych przedmiotów, wchodzących w skład gimnazjum /nowego typu/ i liceum /wydziały: human. i matem. — fiz./ Osoby, gotowe podjąć taką pracę proszone są uprzejmie o zgłoszenie swych nazwisk i adresów do Ośrodka

/61, Hillhead Str., Glasgow, W.2. Tel.: Western 1802/

z podaniem swych kwalifikacji naukowych i zawodowych /praktyki/ i wyszczególnieniem przedmiotów, których mogą nauczać.

W pierwszych dniach grudnia ukaże się w sprzedaży

KALENDARZYK POLAKA w W. BRYTANII na rok 1945

w nowym opracowaniu *A. Laskowskiej*

152 str. artykuły, adresy, informacje, kolorowe mapy Europy, w oprawie skórzanej, w różnych kolorach.

Sprzedaż tylko za gotówkę

Cena 6/6 wraz z Purchase Tax

Zamówienia przyjmuje:

SKŁADNICA KSIĘGARSKA, 6, Hope Str., Edinburgh.

WYDAJE BIURO OPIEKI NAD ŻOŁNIERZEM MIN. OBR. NAROD.

Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. 1-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej — 13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową — sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową — sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam — sh.20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy — 2sh. za wiersz.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.